Rok I. Nr. 6. Kraków, 15. grudnia 1919 r. Cena egz. 2 K. (mr. 1·40)

ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie K. 12·— (mrk. 8·—), półrocznie K. 24·— (mrk. 16·—), rocznie K. 48·— (mrk. 32·—).

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści": Kraków, Karmelicka 16. Ogłoszenia do „Życia i Powieści" przyjmuje wyłącznie Administracya — Kraków, Karmelicka 16.



„Gdybyś się był, Jezuniu, w Polsce urodził..."

Do P. T. Czytelników „Życia i Powieści“!

Starania wydawnictwa „Życia i Powieści“ w kierunku dostarczenia czytelnikom lektury zdrowej i zajmującej, zostały uwieńczone powodzeniem. Pismo nasze, jakkolwiek młode, zdołało już sobie pozyskać uznanie i wielką poczytność wśród szerokich sfer społeczeństwa. Ciesząc się z tak pomyślnego rozwoju, dziękujemy P. T. Czytelnikom za dotychczasowe poparcie. Wydawnictwo „Życia i Powieści“ będzie w dalszym ciągu dokładać wszelkich usiłowań, aby urozmaicić jak najbardziej treść i wzbogacić dział illustracyjny. Mając ten cel na oku, postaraliśmy się o pozyskanie dla redakcyi naszej całego szeregu wybitnych sił literackich. Rozszerzony będzie znacznie dział „humoru i satyry“, wprowadzone zostaną nowe działy, jako to: dział mód, poradnik kosmetyczny, dział gospodarstwa domowego, dział ocen grafologicznych.

W najbliższym czasie rozpoczynamy druk sensacyjnej, niesłychanie interesującej powieści znanego pisarza francpskiego Maurycego Leblarca p. t.:

„POSŁANNICTWO Z PLANETY WENUS“

Powieść ta, sięgająca śmiało w sferę tajemnic wszechświata, od pierwszego rozdziału przykuwa uwagę czytelnika, aby przez cały czas trzymać ją w najwyższem naprężeniu.

Ponadto drukować będziemy świetną powieść tłómaczoną z angielskiego pióra Toma Gallona p. t.:

„CZŁOWIEK O JEDNEM OKU“.

Jeden z wybitnych autorów polskich pisze specyalnie dla „Życia i Powieści“ **powieść, osnutą na tle najnowszych wydarzeń.**

Prócz tego w roku 1920 ukaże się na łamach naszego pisma **powieść humorystyczna, tryskająca dowcipem i wesołością.**

Ponadto wydawnictwo „Życia i Powieści“ dla stałych prenumeratorów przygotowało **szereg pięknych, cennych premii.**

BEZPŁATNE PREMIE „ŻYCIA i POWIEŚCI“.

Dla prenumeratorów rocznych:

Wszyscy prenumeratorzy roczni otrzymają **bezpłatnie dwie piękne książki, a to do wyboru:**

Sensacyjna powieść Gastona Leroux

„CZŁOWIEK, KTÓRY POWRÓCIŁ Z TAMTEGO ŚWIATA“.

Wspaniała fantastyczna powieść Piotra Benoitt.

„TAJEMNICE SAHARY“ (ATLANTYDA).

Niesłychanie zajmująca powieść Jerzego Malewicza

„DZIEWCZĘ Z BUZIĄ JAK MALINA“.

Prócz tego każdy prenumerator roczny może zamieścić **bezpłatnie jedno drobne ogłoszenie (10 wierszy) i przysłać próbkę swego pisma do bezpłatnej oceny grafologicznej.**

Na opakowanie i przesyłkę poleconą książek należy nadesłać 2 K (1 M 40).

Dla prenumeratorów półrocznych:

Wszyscy prenumeratorowie **półroczni otrzymają bezpłatnie**

„SKARBIEC HUMORU POLSKIEGO“

wspaniały zbiór dowcipów, humorystycznych wierszy, wesołych opowiadań, humoresek.

Na przesyłkę poleconą „Skarbca humoru polskiego“ nadesłać należy 2 K.

DLA WSZYSTKICH PRENUMERATORÓW „ŻYCIA I POWIEŚCI“.

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma **bezpłatnie** początek wspaniałej powieści Aleks. Dumasa:

„HRABIA MONTE CHRISTO“

oraz początek niesłychanie interesującej powieści Stevensona:

„SOBOWTÓR ALICYI“.

ZNIŻKI DLA PRENUMERATORÓW PÓŁROCZNYCH I KWARTALNYCH.

Każdemu prenumeratorowi półrocznemu i kwartalnemu przysługuje znaczna zniżka przy nabywaniu książek, przeznaczonych na premie dla prenumeratorów rocznych.

Od 1 stycznia 1920 r. z powodu podrożenia klisz, papieru i znacznej podwyżki cennika drukarskiego, prenumerata kwartalna „Życia i Powieści“ wynosi 20 K, 14 Mk., prenum. półroczna 38 K, 27 Mk., prenum. roczna 75 K. 53 Mk. Pojedynczy zeszyt w drobnej sprzedaży kosztuje 3 K 50 h, 2·50 Mk.

LOTERYA „ŻYCIA I POWIEŚCI“.

Wszyscy Czytelnicy będą mogli wziąć udział w loteryi, dla której wydawnictwo „Życia i Powieści“ nabyło wspaniały obraz pendzla jednego ze znanych malarzy. **Bliższe szczegóły o sposobie przeprowadzenia loteryi będą podane w numerze Noworocznym.**

STANISŁAW OBRZUD.

Żołnierz z frontu.

Był dziś u mnie, obszarpany,
Wichrem, mrozem wysmagany
Żołnierz z frontu.

*

Ale usta mu się śmiały,
Ale oczy mu gorzały,
Jak skry lontu.

*

— Cóż wam powiem, miły panie?...
Jak zwyczajnie, było panie,
Bolszewicy brali lanie!

*

Bo w żołnierskiej opowieści
Nie szukajcie innej treści:
Bijem Mocha, co się zmieści!...

Czasem mamy tańcowanie,
Dziewczęta, jak malowanie —
Jak w żołnierskim, wiecie, stanie!

*

Dzisiaj całus, jutro kula,
Pożałuje Śmierć - Matula —
Nikt się zresztą nie rozczula!

*

—Wasz syn? — żołnierz jest morowy...
Kula w udzie, zresztą zdrowy...
I płaszcz zdobył, całkiem nowy!

*

Z garderobą — wiecie — krucho,
Częściej mokro, niżli sucho —
Zatem:—Zdejmuj płaszcz, psiajucho!...

*

— Cóż wam jeszcze więcej powiem?
— U nas, Pan Bóg nad pustkowiem—
Prędzej od was coś się dowiem!

...Jeszcze kartka jest od syna
I tych cygar odrobina —
Zawsze o was nam wspominał...

*

Cześć!... Już idę, bo się śpieszę,
Dziś matulę mą ucieszę
I krewniaków liczną rzeszę!

*

— — Już odchodzi, obszarpany,
Wichrem, mrozem wysmagany,
Żołnierz z frontu.

*

Ale usta mu się śmieją,
Ale oczy płomienieją,
Jak skry lontu.

* * * *

M. STEVENSON.

Sobowtór Alicyi.

Powieść z życia amerykańskiego.

6 (Dalszy ciąg).

W tej chwili zdarzyło się coś niespodzianego. W przyległym pokoju dały się słyszeć głosy i zaraz ukazał się „boy“ Bridggera, który szepnął swemu panu kilka słów do ucha:

— Ależ to nadzwyczajne! — zawołał młody adwokat. — Wprowadź go tutaj, chłopcze!... Wyobraź sobie, że dr. Flack przyszedł i chce z tobą mówić, Regie!...

Ale mały i ruchliwy, różowy doktór nie czekał na to, by go wprowadzono, sam wbiegł do kancelaryi, wołając:

— Dobry wieczór, moi panowie! Grey, dlaczego ty nie siedzisz w domu, jak na solidnego człowieka przystało... Ja z Jamesem Irvingiem szukamy cię od godziny!...

— Co się stało, doktorze?! Czyżby Alicja?... Niechże pan mówi bez ogródek!...

— Oczywiście, że tak zrobię! Otóż po pańskiem odejściu panna Miranda zastała Alicję leżącą na łóżku i usiłującą stłumić łkanie, które się jej do piersi dobywało!...

— No i...

— Alicja wśród łez powiedziała jej, że zaręczyny zostały odłożone i że prosi ciotkę, aby ją teraz na miłość Boską zostawiła w spokoju! Wkońcu dziewczyna dostała histerycznego ataku... Wyobraźcie sobie, ta zdrowa, dzielna, tryskająca wesołością Alicja!... i atak histeryczny!... Nie chciałem wierzyć własnym uszom.

— Czy panna Irving nigdy jeszcze takiego nie miała ataku — zapytał żywo Traddleton.

— Ależ nigdy w życiu!... Wogóle nie wyobrażałem sobie, aby przy jej zdrowych nerwach to było możliwe!... Ona musiała chyba więcej przecierpieć, niż się do tego przyznaje... Inaczej nie byłaby sobie w przeciągu kilku tygodni do tego stopnia rostroiła nerwów, nie rujnując zarazem zdrowia... A przecież wydaje się zupełnie zdrową...

— Jesteśmy tego samego zdania, co pan, panie doktorze, właśnie pragnęłbym panu powiedzieć, o czem mówiliśmy tutaj z panem Greyem...

— Słucham...

Wesoła, okrągła twarz dra Flacka chmurzyła się coraz wyraźniej w miarę, jak detektyw, przedstwiał mu stan rzeczy...

— Hm... — rzekł doktór wreszcie— mnie nie pozwoliła wezwać, bo... Gdyby to miała być istotnie prawda... no!...

— Co pan myśli o tem wszystkiem, doktorze?

— Sądzę, że Reginald powinien w i e d z i e ć!...

— A my sądzimy, że pan będzie w i e d z i a ł n a p e w n o.

— Jak to?...

— Pan musi zobaczyć tę młodą damę...

— Naturalnie, że ją zobaczę!... Już ja się jej przyjrzę uważnie! — oświadczył stanowczym, mocnym głosem dr. Flack.

ROZDZIAŁ IV.

Opowiadanie Alicji.

James Irving od czasu, gdy córka jego zdjąwszy żałobę, zaczęła bywać w świecie — prowadził dom otwarty. Nie tylko urządzano oficyalne przyjęcia i bale, ale przyjaciele i dobrzy znajomi wiedzieli, że codzień, o każdej porze dnia mogą Irvingów odwiedzać.

Kiedy Alicja po raz pierwszy po swym powrocie ukazała się w teatrze w loży, znajomi uznali to jako zachętę do wznowienia odwiedzin.

To też Alicja siedziała otoczona kołem gości, wśród których prym wymową i złośliwym nieco dowcipem wiodła pani Daisy Parrington — kiedy we drzwiach ukazał się sam pan domu w towarzystwie małego grubego jegomościa.

— O! — zawołała pani Parrington— dr. Flack!... On na wizycie — toż to fakt niebywały!...

— Oto moja córa!... — rzekł gospodarz i w tej samej chwili smukła postać wionęła ku wchodzącym. Dwie białe drobne rączki pochwyciły ręce doktora.

— Doktór Flack! — zawołała Alicja. — Dobry, kochany doktorek!... Jak to pięknie z pańskiej strony, że pan przyszedł!... Przynajmniej będę mogła nacieszyć się pańskiem towarzystwem i opowiedzieć panu o wszystkich moich troskach i przygodach!... Siadaj pan tu między młodzieżą!... Ty zaś ojczulku, idź sobie!... Przyprowadziłeś nam doktora i przez to spełniłeś swój obowiązek względem nas... Ty jesteś dla nas młodych za uroczysty, za majestatyczny, a zresztą musisz zająć się poważnymi panami...

Irving śmiejąc się, uczynił zadość wezwaniu córki, a dr. Flack zajął wskazane mu miejsce.

— Doktorku złoty, — rzekła Alicja,—jakże pan dobry jesteś dla mnie, choć ja właściwie wcale na to nie zasługuję...

Położyła rękę na ramieniu doktora. Piękne jej oczy pociemniały i stały się bardzo poważne.

— Wie pan, ja się tak lękałam opowiadać panu moją dziwną, straszną historyę... Zdawało mi się, że pan mi nie zechce wierzyć i że na tem ucierpi nasza stara serdeczna przyjaźń... I teraz jeszcze nie mogę pozbyć się tego niemiłego uczucia.

Doktóry wziął rękę dziewczyny w swoje dłonie i pogładził pieszczotliwie, nie mówiąc jednak ani słowa.

Natomiast Dansy Parrington zawołała:

— Biedactwo, ty moje... Jakże mi ciebie żal!... Ale ty nas krzydzisz, Alicjo... My wszyscy tak wierzymy w ciebie, że nawet nie pytamy o twoje przeżycia...

Doktór znowu pogładził drobną rączkę, którą trzymał w dłoni.

— Alicja nie chce być pytaną — rzekł — dopóki sama nie zdecyduje się na opowiedzenie wszystkiego...

— Już się zdecydowała — odparła Alicja — doktorze, czy pan chce wysłuchać tej historyi?...

— I my także posłuchamy chętnie— ozwał się dźwięczny męski głos.

Panie obejrzały się zdziwione i zobaczyły Reginalda Greya, który w towarzystwie Bridggera i Traddletona wszedł niepostrzeżenie do salonu.

— Czy tylko Alicja się zgodzi? — zauważyła pani Daisy.

— Dlaczegóżby nie? Siadajcie, panowie. Zaczynam.

Subtelnie zarysowane brwi dziewczyny zsunęły się, tworząc małą fałdkę na jej białem czole.

Przez chwilę panowało milczenie, poczem Alicja rozpoczęła opowiadanie:

— Była sobie niedawno pewna głupia dziewczyna, która nudząc się na zebraniu w klubie sufrażystek — wysunęła się po cichu ze sali. — Przed gmachem klubu stał szofer z twarzą kompletnie zasłoniętą czapką i okularami... Głupia dziewczyna była tak nieostrożna, że zapytała go, czy jej automobil już zajechał... Wymieniła nazwisko i numer... Po chwili człowiek ów wrócił i oświadczył, że auto czeka już... Dziewczyna, nie zastanawiając się dłużej, wsiadła i kazała jechać do domu... Kiedy następnie szofer zapytał czy może jechać przez ciemną boczną ulicę, skinęła przyzwalającą głową... I wtedy to w tej bocznej ulicy stało się coś dziwnego... Był to zapewne chloroform, który działał tak szybko, że dziewczyna nie zdążyła nawet krzyknąć!... Kiedy głupiutka nierozważna dziewczyna odzyskała znowu przytomność, leżała w czystym, ładnie urządzonym pokoju, z górnem światłem, jak w malarskiej pracowni... Podniósłszy się z sofy, zobaczyła poprzez uchylone do sąsiedniego pokoju drzwi, elegancką sypialnię, również z górnem światłem...

Alicja urwała i powiodła wokół wzrokiem. Wszyscy siedzieli nieruchomo. Nikt się nie odzywał ni słowem. Młoda dziewczyna, rzuciwszy szybkie, jak błyskawica spojrzenie na siedzącego ze spuszczonemi oczyma doktora i ciągnęła dalej:

— Sądzę, że najlepiej będzie opuścić niewygodną „dziewczynę" i opowiadać w pierwszej osobie... Zatem z początku sądziłam, że to jakiś figiel i energicznie nacisnęłam guzik elektrycznego dzwonka. Nikt się jednak nie zjawił... Natomiast okazało się, że w pokoju istnieje telefon... Jakiś basowy głos za ścianą zawołał, abym podeszła do telefonu, umieszczonego obok szafy z książkami... Zrobiłam to i dowiedziałam się, że zostałam niby w jakiejś kryminalnej powieści uprowadzoną — i wolność odzyskam dopiero po opłaceniu „porządnego okupu"...

Urwała i napół śmiejąc się, napół zakłopotana spojrzała Flackowi uważnie w oczy:

— Doktoreczku — zapytała jak się panu podoba ta historya?

Mały doktór drgnął silnie. „Doktoreczkiem" nazywała go Alicja Irving od lat dziecinnych w momentach rozczulenia.

— Moje drogie dziecko — odparł spokojnie lekarz — kiedy dowiedziałem się o twem porwaniu, podziękowałem Bogu, że cię obdarzył energią i ognistym temperamentem, bo w takich razach — to są najlepsi doradcy i pomocnicy...

— Tak też było z początku... Ale później czułam, że mnie energia opuszcza... Nie chcę jednak wdawać się w szczegóły: braknie mi sił do tego...

Otóż jedzenie podawano mi przez małe okienko, przyczem z zewnątrz odsuwano matową szybkę, aby ją natychmiast zasunąć znowu. Od drugiego dnia mego pobytu w tym tajemniczym domu począwszy — zjawiała się codziennie czysto ubrana starsza już murzynka, która mi usługiwała... Murzynka ta przyniosła mi papier, atrament i pióro, zachęcając mnie bym napisała do ojca, żądając wykupu... Gdy odmówiłam jej żądaniu, wyniosła z pokoju materyały piśmienne, tak, jakbym miała możność wysłania listu przez kogo innego. Twarzy ludzkiej nie widziałam tam przez cały czas... Rozmawiano ze mną tylko w nocy, wśród zupełnych ciemności, bo przedtem gasło światło elektryczne. Kilka razy odwiedzała mnie jakaś kobieta, która mówiła do mnie łagodnie i przyjaźnie...

— Elektryczne światło...—mruknął dr. Flack — czy to było w mieście?

— Nie wiem.

— Czy zechcesz — czy możesz nam powiedzieć, drogie dziecko, dlaczego ci ludzie zdecydowali się uwolnić cię za sumę stosunkowo niewielką!...

Z lekkim uśmiechem odpowiedziała:

— Przypomina pan sobie, że swego czasu krążyła wieść, iż ojczulek ma się żenić z pewną panią w Paryżu?

Doktór skinął potwierdzająco głową.

— Widząc, że mam do czynienia z łotrami, nie zawahałam się przed żadnym środkiem obrony... I dlatego po pewnym czasie oświadczyłam tej młodej osobie, która do mnie w nocy przychodziła, że ja i ojciec mój nie żyjemy bynajmniej w najlepszej ze sobą harmonii... Jeśli będziecie czekać zbyt długo — rzekłam — to ojciec gotów wyjechać do Europy, do Paryża, gdzie czeka na niego kobieta, którą zamierza poślubić... A ona już napewno użyje swego wpływu, by powstrzymać ojca od wyrzucenia tak wielkiej sumy, jakiej żądacie". Pan śmieje się, doktorze!... — zawołała Alicja, widząc, że po ustach doktora przemknął uśmiech.

— Wkrótce potem musiało zajść coś nowego, co uczyniło ludzi tych bardziej ustępliwymi, zwłaszcza, że ja zachowywałam się w ten sposób, jakby wszystkie nieokreślone ich pogróżki żadnego na mnie nie wywierały wrażenia... Ostatniego dnia podano mi w kawie jakiś silny usypiający środek, bo zaraz po śniadaniu straciłam świadomość i przyszłam do siebie dopiero w automobilu, który zatrzymał się wkrótce przed naszym domem...

— Doktorze, niech to panu da wyobrażenie o ówczesnym moim nastroju duszy! Ja stałam dobre kilka minut na stopniach schodów, zanim się zdecydowałam zadzwonić...

Umilkła i blada wyczerpana z ciężkiem westchnieniem opadła w głąb fotelu.

Chwilę milczeli wszyscy. Wreszcie Tomasz Traddleton rzekł wolno i poważnie: (C. d. n.).

Rozbójniczy generał.

Bandytyzm w kraju agawy. — „Legion śmierci". — „Attyla meksykański.

W Puebla, jednem z największych miast Meksyku, bandyci uprowadzili agenta konsularnego Stanów Zjednoczonych. Rząd w Waszyngtonie wystosował do rządu meksykańskiego ultimatum, żądając natychmiastowego uwolnienia swego urzędnika. Trudno jest jednak powiesić kogoś, jeśli się go wprzód nie schwytało, a wątpliwem czy jest, czy nawet całej sile zbrojnej meksykańskiej, jak ma do swego rozporządzenia prezydent Carranza, udałoby się ująć owych śmiałków, którzy uprowadzili agenta konsularnego prawdopodobnie w celach szantażu. — Albowiem meksykański bandytyzm jest świetnie zorganizowany. Nie należy zresztą tych bandytów porównywać z rozbójnikami z Abruzzów lub zwykłymi rabusiami. W kraju agawy bandytyzm jest ściśle związany z polityczną awanturniczością. Ci wszyscy liczni „generałowie", którzy występują przeciwko rządowi i grupują wokół siebie buntowniczo usposobionych żołnierzy, stoją tak blizko bandytyzmu, że wcale się im nie wyrządza krzywdy, określając ich poprostu jako przywódców rozbójniczych band, a posiadających polityczne ambicye.

Typowym takim „generałem bandytów" był Emiliano Zapata, który niedawno temu padł trafiony kulą wśród walki przeciw wojskom rządowym. Ta śmierć żołnierska ocaliła go od zawiśnięcia na szubienicy, na którą sobie stokrotnie zasłużył.

Zapata rozpoczął swoją karyerę przed 26 laty jako zwykły rozbójnik. Rzemiosłu rabusia oddał się z upodobania, nie z potrzeby, albowiem pochodził z zamożnej rodziny. Debiut nie udał mu się, schwytano go wówczas. Ówczesny prezydent Porfirio Diaz chcąc walczyć z bandytyzmem, chwycił się bardzo rozsądnych środków. Powiedział sobie, że to nie ma sensu silnych, zdrowych mężczyzn trzymać i żywić w więzieniu, jeżeliby ich można było użyć inaczej. Takich, których uważał za niepoprawnych, kazał odrazu rozstrzeliwać, a z pozostałych tworzył specyalne kompanie wojska, aby za pomocą żelaznej dyscypliny wojskowej zrobić z nich dobrych żołnierzy. Ten sam los spotkał i Emiliana Zapata. Piętnaście lat służył w wojsku, a potem wraz ze swoim bardzo zamożnym bratem zajął się gospodarstwem rolnem. Ale to spokojne zajęcie nie odpowiadało bynajmniej jego usposobieniu, w głębi ducha śnił on wielkie plany. Czuł się powołanym do roli polityka i generała. Przez pięć lat bracia Zapata gromadzili broń i amunicyę, swój dom zamienili na formalną twierdzę i kosztem wielkich nakładów pieniężnych uformowali oddział kawaleryi, znany później pod nazwą „legionu śmierci".

Kiedy sędziwy prezydent Porfirio Diaz zmuszony został do ucieczki do Europy, dla braci Zapata nadeszła chwila czynu. Swój oddział ochotniczy oddali do rozporządzenia następcy Porfiria Diaza. Chociaż prezydent Madero wiedział, że ma do czynienia z bandą rozbójników, przyjął jednak tę propozycyę, w przeciwnym bowiem razie Zapatowie ofiarowaliby swe usługi jego wrogom.

Działalność „legionu śmierci" upamiętniła się w umysłach mieszkańców południowego Meksyku. Gdzie przeszli legioniści, tam kamień nie zostawał na kamieniu. Pod pozorem zaprowadzaniu „porządku" napadał Emiliano Zapata na miasta, wsie i osady. W krótkim czasie splądrował 19 miast, 35 wsi i 42 „hacyendy". Tysiące ludzi ginęły często wśród barbarzyńskich tortur. Ten „Attyla meksykański" — bo tak sam siebie nazywał Zapata — naśladował w zupełności hiszpańskich słynnych „conquistadorów".

ARTUR SCHNITZLER.

Ślepy Geronimo i jego brat.

Przełożył **Jan Sobota.**

Powstawszy z ławy, wziął ślepy Geronimo do rąk gitarę, która leżała na stole, tuż obok flaszki z winem. Posłyszał daleko turkot pierwszego pojazdu. Dowlókł się znaną sobie drogą ku drzwiom otwartym i zeszedł na dół po wązkich, drewnianych schodach, wiodących wprost na dziedziniec. — Wraz z bratem stanął przy wejściu, plecami zwrócony ku ścianie, starając się uchronić przed wilgotnym i mroźnym wiatrem, który miotał się i szalał ponad błotnistą ziemią.

Obok posępnej, starej oberży przejeżdżać musiały wszystkie pojazdy, obierając drogę przez przełęcz Stylfską. Dla podróżnych, którzy z Włoch do Tyrolu zmierzali, był to ostatni przystanek przed górami. Do dłuższego postoju nie zachęcał, gdyż właśnie w tem miejscu droga biegła dość nisko, bez widoków na okolicę, pomiędzy łysemi skałami. Ślepy Włoch i brat jego Carlo, byli tu latem jak w domu.

Poczta zajechała, wkrótce potem nadeszły inne pojazdy. Większa część podróżnych pozostała w głębi karoc, dobrze otulona w pledy i w płaszcze, niektórzy wysiedli i niecierpliwie przechadzali się obok bramy wjazdowej, tam i z powrotem. Pogoda stawała się coraz brzydszą, zimny deszcz siec począł.

Ślepiec śpiewał, wtórując sobie na gitarze; śpiewał głosem urywanym, niekiedy przechodzącym w chrapliwy ton, jak zwykle, gdy nieco podpił. Chwilami podnosił głowę ku górze, z wyrazem niemej prośby. Ale sine od mrozu oblicze jego, okolone czarnym, szorstkim zarostem, pozostało nieruchomem. Brat jego starszy stał obok nieporuszenie. Gdy rzucił mu kto pieniądz do czapki, kiwał się w podzięce, spoglądając ofiarodawcy szybkiem, jakby nieprzytomnem spojrzeniem w twarz. Ale natychmiast strwożony, odwracał wzrok i wlepiał oczy, podobnie jak brat, w przestrzeń. Wyglądało to tak, jakgdyby wstydził się światła, które udzielonem mu było, a z którego nie mógł ni promienia użyczyć ślepemu bratu.

Wiatr wiał, a deszcz tak szumiał, że słychać nie było turkotu powozu, zbliżającego się ku gospodzie.

Geronimo śpiewać począł dopiero wtedy, gdy kareta, w której siedział tylko jeden pasażer, na dziedziniec gospody wjeżdżała. Podróżny, był to człowiek bardzo młody, o pięknem bez zarostu obliczu i niespokojnych oczach. Chwilę siedział nieruchomo, zdając się nie słyszeć śpiewu. Nagle jednakże wyskoczył z powozu i przechadzać się począł nerwowo obok karety tam i z powrotem. Zacierał ustawicznie ręce, chcąc się rozgrzać. Teraz dopiero snać spostrzegł żebraków. Przystanął i przez czas dłuższy przyglądał się im badawczo. Carlo skłonił lekko głowę, jakby w powitaniu.

Zjawił się woźnica, który wprzęgać począł świeże konie. Teraz dopiero, jak gdyby budząc się z zamyślenia,

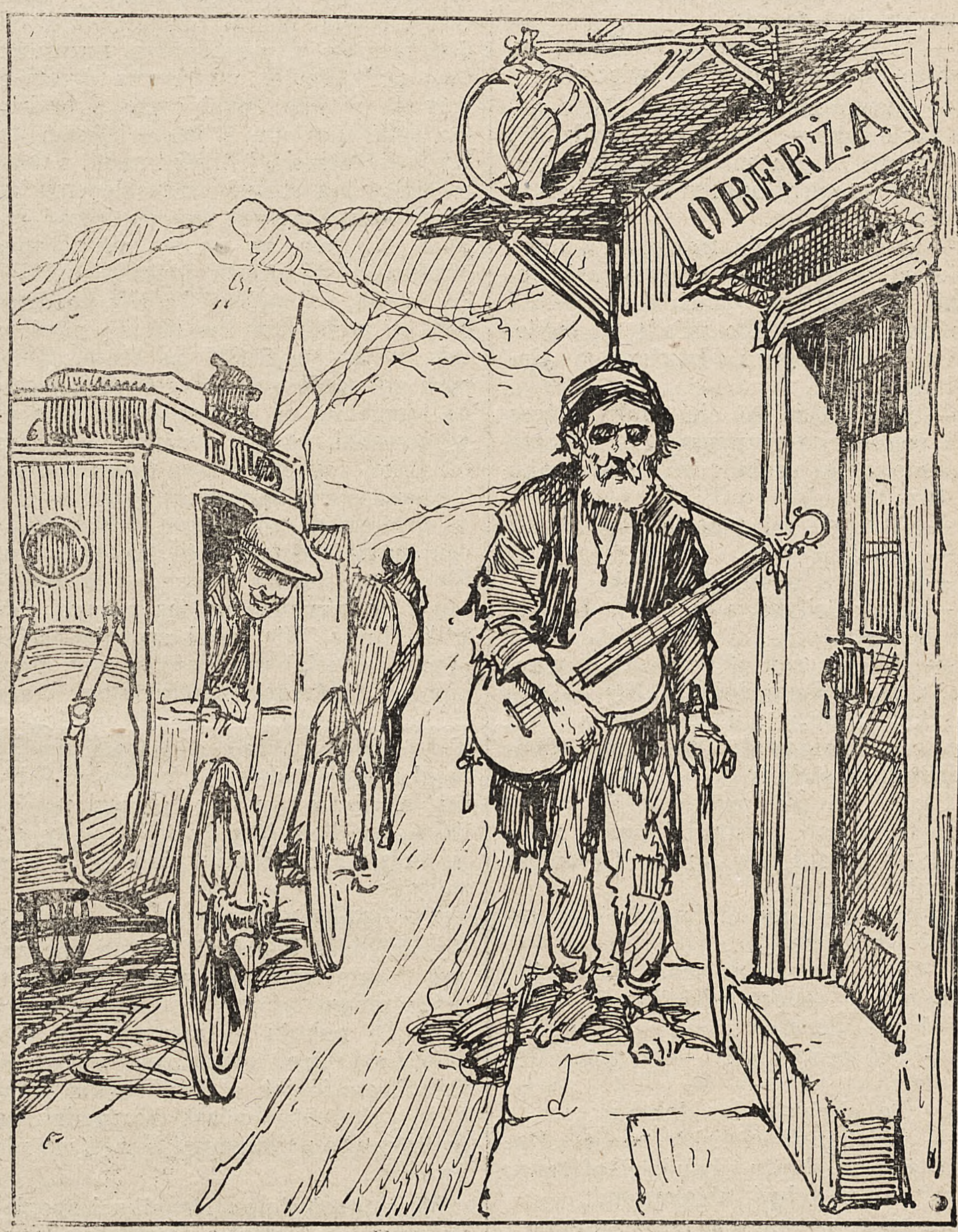
— A więc Geronimo, nie daj się oszukać.

W tej chwili zjawił się woźnica na pierwszym stopniu schodów.

— Jakto, wielmożny panie, oszukać?

— Dałem twemu towarzyszowi dwudziestofrankówkę.

— O panie, dzięki, dzięki!



wsunął młodzieniec rękę w kieszeń i wręczył Carlowi franka.

— O dzięki, dzięki — rzekł brat ślepca.

Podróżny wsiadł do karety i zawinął się w swój płaszcz. Carlo poszedł po schodach na górę, Geronimo śpiewał dalej.

Młodzieniec raz jeszcze wychylił głowę z powozu, wstrząsając nią z wyrazem wyższości i lekceważenia. Nagle, pod wpływem jakiejś ukrytej myśli uśmiechnął się i przemówił do ślepca:

— Jak się nazywasz?

— Geronimo.

— Miej się na baczności!

— To mój brat, panie; on mnie nie oszuka.

Młodzieniec zająknął się na chwilę; ale w czasie, gdy się namyślał jeszcze wsiadł woźnica na kozioł i zaciął konie. Młody człowiek opadł na poduszki, z ruchem głowy, który zdawał się wyrażać: „Losie czyń, co uważasz za stosowne!“ I kareta oddaliła się. Ślepiec ruchem rąk starał się wyrazić odjeżdżającemu gorącą swą podziękę. Teraz usłyszał, jak Carlo, wyszedłszy z izby gościnnej zawołał doń:

— Pójdź, Geronimo, tutaj ciepło!

Geronimo skinął głową, wziął gitarę

pod pachę i trzymając się poręczy, po schodach dostał się na górę. Jeszcze na schodach zawołał do brata:

— Pozwól mi go dotknąć! Tak dawno nie miałem złota w rękach!

— Czego chcesz? — zapytał Carlo. — Co mówisz?

Geronimo był już przy bracie i obiema rękami objął go za głowę. Zwykł był w ten sposób okazywać zadowolenie swoje i radość.

— Carlo, mój bracie kochany, są jeszcze dobrzy ludzie na świecie!

— Naturalnie — odrzekł Carlo. — Na razie mamy dwa liry i trzydzieści centimów; a tu mam jeszcze nieco drobnej monety austryackiej, będzie chyba z pół lira.

— A dwadzieścia franków, a dwadzieścia franków! — wykrzyknął Geronimo. — Wiem o nich! — powlókł się do izby i ciężko usiadł na ławie.

Carlo stroskany i zdziwiony spoglądał na brata.

— Nie rozumiem cię. Jak możesz coś podobnego przypuszczać. Nikomu się nie śniło robić mi podarunku z dwudziestofrankówki.

— Ależ on mi przecie powiedział!

— Kto?

— No, ten młody człowiek.

— Śniłeś chyba Geronimo, to nie ma sensu!

— Nie ma sensu? Słyszałem przecie, a słuch mam dobry: „Nie daj się oszukać; dałem mu złotą monetę“... nie, tak powiedział: „dałem mu dwudziestofrankówkę!“

Carlo nie pojmował, co się stało. Czy Geronimo postradał nagle zmysły? — Usiadł na ławie, Geronimo stanął koło pieca.

— Dlaczego nic nie mówisz? — zapytał Geronimo?

— Tak się rzecz ma, jak ci już mówiłem — odpowiedział Carlo. Głos drżał mu nieco.

— Coś powiedział? — zapytał Geronimo.

— To chyba był obłąkany.

— Obłąkany? Jeśli kto powie: „Dałem twemu bratu dwudziestofrankówkę“, to ma być obłąkanym?

— Możliwe, że nie był obłąkany... ale istnieją tacy, którzy z nas, biednych ludzi, żarty stroić lubią...

— E! — wykrzyknął Geronimo. — Żarty? Na to tylko czekałem!

— Ależ Geronimo! — zawołał Carlo zmieszany — jak możesz przypuszczać coś podobnego?

— Dlaczego drży głos twój... ha... dlaczego?

— Dosyć, Geronimo! — rzekł Carlo — chodź! — I ująwszy brata za rękę, prawie go zaciągnął po schodach na zimne poddasze, gdzie nocowali.

Podczas całej drogi wykrzykiwał Geronimo:

— Teraz wiem już, coś za jeden! Poczekaj tylko!... Śpiewam dla ciebie, gram na gitarze, z pracy mej żyjesz, ty złodzieju! — Upadł na posłanie.

Z kurytarza wązkiem pasmem wsączał się promień światła; drzwi do jedynego pokoju gościnnego, jaki gospoda posiadała, stały otworem. Kelnerka ścieliła łóżka dla dwu podróżnych, którzy późną pocztą nadjechali. Carlo stał nad legowiskiem brata, wpatrując się w opuchłe jego oblicze. I powoli począł rozumieć. Nie od dziś musiało w niewidomym nurtować owo podejrzenie, od dawna drzemać musiała w nim myśl owa, a brakło mu tylko powodu, a może odwagi do wypowiedzenia jej. Czyż i nadal z dnia na dzień ma służyć bratu ślepemu za przewodnika, żebrać zań, pocieszać go, jako nagrodę za swoje poświęcenie odbierając nieufność i przekleństwa? Zaprawdę, najmądrzej byłoby pozostawić go własnemu losowi. Ale myśląc tak, wciąż spoglądał na brata. I ujrzał go nagle samotnego, siedzącego na kamieniu, na skraju drogi, tonącej w powodzi słońca, oczyma bielmem okrytemi spoglądającego ku niebu i rękoma wyciągniętemi przed siebie, w przestrzeń wiecznego mroku. I uczuł nagle, że podobnie jak brat ten, nikogo nie ma na świecie prócz niego, tak i on również nie ma nikogo, jak tylko brata. Nie mógł go, nie chciał opuścić. Musiał wynaleźć środek, przy pomocy którego przekonałby brata o bezpodstawności podejrzeń jego... Tak, gdyby jakimś sposobem dostać mógł złotą dwudziestofrankówkę! Gdyby tak jutro rano mógł mu powiedzieć: „Schowałem ją tylko, aby mi jej ludzie nie skradli“... lub coś w tym rodzaju.

Na schodach drewnianych rozległy się stąpania. Podróżni szli na spoczynek. Nagle myśl pewna przebiegła mu przez głowę: a gdyby tak zapukać tam, do pokoju gościnnego, opowiedzieć szczerze podróżnym przygodę całą i prosić ich o dwadzieścia franków. Ale natychmiast zrozumiał, że to wszystko nadaremne! Nawet mu nie uwierzą...

Wyciągnął się na sienniku i spoglądał w mrok. Myślał o dniu jutrzejszym i — zadrżał. Myślał o przyszłości i strach odczuł przed samotnością, która go czekała. Dlaczego nie poszedł do obcych i nie prosił ich o dwadzieścia franków. A mimo to — kto wie — może i dobrze uczynił, że ich nie prosił. Ale dlaczego dobrze?... Usiadł i wsłuchiwał się w bicie swego serca. Nie — to nie było możliwem — tak, to było niemożliwem!... Drzwi z wewnątrz były zamknięte — a prócz tego: mogliby się przebudzić... Tak, tam — owa szara, nikła w ciemnościach plama, na środku poddasza, była zapowiedzią dnia wstającego...

Carlo powstał. Podszedł ku drzwiom i otworzył je lekko. Naprzeciwko były te drugie, zamknięte... dwa kroki dzieliło go od nich. Ale cóż to za promień światła padający pionowo z drzwi na podłogę kurytarza?

Czyżby to możliwem było? Drzwi są tylko przymknięte, niezamknięte?..

Nie zamykać ich za sobą — nieco odwagi — tak i trochę szczęścia!

Carlo otwiera lekko drzwi i bosemi nogami, po cichu, nie sprawiając szelestu, wkrada się do pokoju. Na środku stoi stół. Carlo przypełza do niego i ręką przesuwa po powierzchni. Pęk kluczy, scyzoryk, notes — nic więcej. Naturalnie!... Że też mógł coś podobnego przypuszczać. Przecież pieniędzy nie kładliby na stole!

Zbliża się teraz do łóżka, koło drzwi; tu na krześle coś leży — dotyka — rewolwer!... Carlo wzdryga się... Czy nie byłoby wskazanem zatrzymać go... na wszelki wypadek?... Gdyby tak podróżny zbudził się i ujrzał go... Ale nie, powiedziałby: „Już trzecia, wielmożny panie, proszę wstawać!“ I rewolwer pozostawia na miejscu.

Idzie w głąb pokoju. Tu na drugiem krześle... O nieba! Oto jest... pugilares — ma go w rękach!

Otwiera — w lewej i w prawej przedziałce tylko srebrniaki, w środkowej natomiast, zamkniętej osobnym zameczkiem, wyczuwa palcami trzy złote monety dwudziestofrankowe. Szybko wyjmuje z nich jedną i zamyka pugilares. W tejże chwili słyszy lekki szelest. W mgnieniu oka pada na ziemię i rozciąga się na podłodze, obok łóżka... I znów słychać ów szmer — głębokie westchnienie, chrapnięcie — potem cisza, nieprzerwana cisza... Carlo pełza po podłodze aż do drzwi, robi dwa kroki wstecz, wstrzymując oddech i już znajduje się u siebie. Tu czuje się bezpieczny i nadsłuchuje... Raz jeszcze skrzypnęło w drugiej izbie łóżko, potem zapanowała cisza. W palcach trzyma złoty pieniądz. Udało się, udało! Ma dwadzieścia franków i może bratu powiedzieć: „Widzisz, nie jestem złodziejem!“ Dziś jeszcze pójdą stąd na południe, do Borunio, potem dalej przez Veltlin... następnie do Tirano.., do Edole... do Bremo... nad jezioro Izeo, jak roku zeszłego... Nie wywoła to podejrzenia, gdyż przedwczoraj jeszcze powiedział do gospodarza: „Za dni kilka zejdziemy w doliny“.

Geronimo przeciąga się i ziewa. Carlo woła:

— Geronimo!

— Czego chcesz? — Podpiera się obiema rękami i siada na posłaniu.

— Geronimo, wstawajmy!

— Dlaczego? — i martwe swe oczy zwraca ku bratu.

Carlo wie o tem, że Geronimo pamięta wczorajszą przygodę, ale i o tem wie również, że ni słówkiem już o niej nie wspomni.

— Zimno, Geronimo, pójdziemy już stąd. Nie doczekamy się już ciepłych

dni, myślę więc, że najlepiej dla nas opuścić to miejsce jak najprędzej. W południe możemy już być w Biadore.

Geronimo powstał. Carlo zebrał w mały węzełek skąpe mienie, następnie rzekł:

— Piękny dzień, ale mroźny!

— Wiem o tem — odpowiedział Geronimo. Opuścili poddasze i wyszli na gościniec, szarzejący w mroku. Carlo ujął brata pod lewe ramię i milcząco skierowali swe kroki ku dolinom.

Ku nim, w rozpadlinach górskich zrodzone, pełzały mgły, a ponad nimi, wierzchołki gór, zdawały się tonąć w chmurach. Carlo myślał: „Teraz mu powiem“.

Nie rzekł jednakże ni słowa, lecz wyjął złoty pieniądz i wręczył go bratu; ów wziął go w palce prawej ręki, potarł nim policzek i czoło, w końcu skinął głową: „Wiedziałem o tem“.

— Tak — rzekł Carlo — ale zrozumiesz chyba, dlaczego tam, w obecności innych... Wiesz co, Geronimo, że pora już, byś sprawił sobie nowy płaszcz.

Ślepiec gwałtownie potrząsnął głową:

— Na co? — I ręką pogładził okrycie swoje. — Jeszcze całkiem dobry, całkiem dobry i tak idziemy teraz na południe.

Carlo nie pojmował tego, dlaczego Geronimo nie cieszy się, dlaczego nie przyznaje mu słuszności. I znów przemówił:

— Geronimo, czy nie postąpiłem mądrze? Dlaczego się nie cieszysz?

Na to wykrzyknął Geronimo:

— Milcz Carlo, dość tego! Wiecznie kłamiesz!... Setki razy już okłamałeś mnie! I teraz również chciałeś je dla siebie zatrzymać, ale przeląkłeś się — w tem przyczyna!

Carlo zwiesił głowę i nie odrzekł nic. Zaprawdę — nic się nie zmieniło, myślał... Dopuściłem się dlań kradzieży — i nadaremnie.

Szli dalej, szli godzinami. Od czasu do czasu Geronimo siadał na kamieniu przydrożnym lub opierali się o balustradę mostu, by wypocząć.

Z dala, ktoś ku nim zbliżać się począł. Carlowi zdawało się, jakgdyby postać owa dotychczas gdzieś przy drodze siedziała i nagle się podniosła. Człowiek ów, był coraz bliżej. Teraz poznał Carlo, że był to żandarm, którego często spotykali na gościńcu. Mimo to przeraził się.

— Ktoś idzie ku nam — rzekł Geronimo.

— Żandarm — odrzekł Carlo.

Byli tuż przy nim.

— Dzień dobry — rzekł Carlo i przystanął.

— Zaszły tego rodzaju wypadki — odezwał się żandarm — iż muszę was obu zaprowadzić na posterunek do Beladore.

— E! — wykrzyknął ślepiec.

Carlo zbladł.

— Dlaczego nic nie mówisz, Carlo? — zapytał Geronimo.

— O, ja mówię... Proszę pana, panie żandarmie, jak to możliwe?

— Nic wam na to nie poradzę. Może jesteście niewinni, nie wiem. W każdym razie jesteście o to podejrzani, żeście tam, w gospodzie, podróżnym pieniądze ukradli. A więc, w drogę!

— Carlo, czemu nic nie mówisz? — zapytał po raz wtóry Geronimo.

— Cóż mam mówić, Geronimo? Wszystko się samo wyjaśni.

Pomyślał jednak: „Czy zanim przed sądem staniemy, mam mu o wszystkiem powiedzieć?“ I spojrzał nań z boku. Głowa ślepca poruszała się, jakby w takt krokom naprzód i w tył, twarz jednakże pozostała nieruchoma, a martwe źrenice spoglądały wdal. Carlo zrozumiał nagle, co za myśli przesuwały się pod tą czaszką. „Tak“ musiał zapewne myśleć Geronimo. „Carlo nie tylko mnie okrada, lecz i innych?“... Tak, zapewne tak myśli Geronimo!

Wtem przystanął ślepiec, Carlo również wstrzymał krok.

— Co tam znowu? — zapytał żandarm zniecierpliwiony. — Naprzód, naprzód! — Nagle z podziwem ujrzał, jak ślepiec opuścił na ziemię gitarę, wzniósł ramiona ku górze i obiema rękami objął twarz brata. Zbliżył następnie usta swoje do policzków brata i ucałował je.

— Czyście poszaleli? — wykrzyknął żandarm. — W drogę, naprzód!

Geronimo podniósł z ziemi gitarę. Carlo znów ujął brata pod ramię. — Uśmiechał się uszczęśliwiony. Przyspieszył kroku. Uśmiech nie znikał mu z twarzy. Zdawało mu się, że nic gorszego już go spotkać nie może — ani przed sądem, ni też nigdzie na świecie. Miał znowu brata!.. Nie, on go miał po raz pierwszy...

JEROME K. JEROME.

Miał szczęście...

(Humoreska świąteczna).

Wsiadł do pociągu w Ipswich, dźwigając pod pachą siedem różnych pism tygodniowych... Zauważyłem, że każdy z tych tygodników ubezpieczał swych czytelników od nieszczęśliwych wypadków kolejowych. Ułożył swoje pakunki na półce, zdjął kapelusz, otarł łysinę czerwoną jedwabną chustką i jął potem sumiennie wypisywać na każdem z czasopism nazwisko i adres. Siedziałem naprzeciw niego, więc mogłem dobrze obserwować.

Nagle przy silniejszem wstrząśnieniu pociągu, podkowa żelazna, którą umieścił razem z innymi pakunkami — spadła mu na głowę...

Ani się zdziwił, ani rozgniewał. Zatamowawszy krew chustką do nosa, pochylił się, podniósł podkowę, popatrzył na nią, jakby z wyrzutem i spokojnie na bok odłożył.

— Czy pan mocno skaleczony? — zapytałem. Przyznaję, że to było bardzo głupie pytanie, bo wielki guz na jego czole rósł poprostu w oczach. To była niezwykle duża i ciężka podkowa.

— Trochę — odparł.

— Poco pan brał tę podkowę ze sobą?

— Znalazłem ją na ulicy—odrzekł—podniosłem, bo podkowa podobno szczęście przynosi...

Przyłożył chustkę do obrzmienia na głowie.

— Tak — ciągnął dalej — nieraz w mojem życiu miałem szczęścia, ale nie powiem, żebym dobrze na tem wyszedł... Urodziłem się np. w środę... To jest, jak panu zapewne wiadomo, możliwie najszczęśliwszy dzień dla urodzin. Matka moja była wdową, a nikt z krewnych nie chciał się mną zaopiekować. Wszyscy mówili, że troszczyć się o chłopca, który się w środę urodził, to zupełnie to samo, co dolewać konewką wody do oceanu. Mój wuj, umierając, zapisał cały majątek co do grosza memu bratu, który miał nieszczęście urodzić się w piątek. Ja zamiast pieniędzy otrzymałem przypomnienie obowiązków, ciążących na szczęśliwcu, który napewno zostanie bogatym człowiekiem...

Umilkł, złożył swoje czasopisma i schował je do kieszeni palta.

— Potem czarne koty! — mówił dalej — one mają przynosić szczęście. Nie było chyba nigdy czarniejszego kota, jak ten, który zabłąkał się do mego pokoju na Bolsover - street...

— I cóż? czy ten kot przyniósł panu szczęście?...

Wyraz głębokiego namysłu odmalował się w jego wejrzeniu.

— Zależy, jak się kto na to zapatruje — rzekł melancholijnie — być może, nie byliśmy wcale stosowni dla siebie... A jednak, ja wówczas byłbym chętnie spróbował...

— Cóż się stało?

— Wyjeżdżając na kilka dni, powierzyła mej opiece swego ulubionego kanarka...

— Ależ to nie była pańska wina!

— Zapewne, ale ten wypadek wywołał pewne oziębienie stosunków, a ludzie niechętni umieli rozdmuchać to nieporozumienie... Podarowałem jej potem tego czarnego kota...

Chwilkę panowało milczenie.

— Tak bywało zawsze — podjął znowu — byłem dopiero 14 dni na mo-

Wszyscy mogą mieć ładne nosy.

Paryski lekarz przekształca nosy i usuwa zmarszczki.

Pewna młoda panienka w Paryżu miała w kole swych znajomych opinię osoby o charakterze wielce nieprzyjemnym. Zawsze nachmurzona, zasępiona, mówiła mało, a gdy odzywała się, to z ust jej padały słowa cierpkie, zgryźliwe.

Tłomaczono wady jej usposobienia defektem powierzchowności. Wiedziano powszechnie, że panienka cierpi, ponieważ natura obdarzyła ją niesłychanie brzydkim nosem, wielkim, grubym i garbatym. Ten nos nieszczęsny szpecił twarz o pięknych, wyrazistych oczach i białej delikatnej twarzy, któraby gdyby nie kształt nosa, mogłaby budzić zachwyt.

Ten nos wywołujący szydercze uśmiechy na ustach przechodniów, był słabą stroną owej panienki. W obecności jej nie można było wymawiać słowa: „nos“, bez narażenia się na wybuch gniewu. Jeśli ktoś patrzył się na nią, była przekonaną, że wyśmiewa się z jej brzydkiego nosa.

Nagle nastąpiła zmiana. Panienka ukazała się oczom znajomych uśmiechnięta, z błyszczącym wesołością wzrokiem.



A przytem nos... to był inny nos!... Ależ przecie nosa odmienić nie można... A jednak... To nie ten sam nos!...

— Patrzycie państwo na mój nos — rzekła — proszę, patrzcie śmiało!... Nie mam już powodu wstydzić się go! Poprawiono mi nos!... I żadnej nie ma blizny, jak widzicie...

Jedna z pań obecnych zapytała ją o nazwisko tego lekarza-czarodzieja, który wykonał tak zręczną, a niepospolitą operacyę. Panienka głosem drżącym ze wzruszenia, wymieniła nawisko dra Bourgueta.

Owa znajoma jej, powodowana ciekawością udała się do dra Bourgueta, aby dowiedzieć się bliższych szczegółów o cudownej przemianie brzydkiego nosa na ładny.

Dr Bourguet oznajmił jej, że nietylko poprawia nosy, ale i zmarszczki usuwa bez śladu.

— Nos — trąba, nos — kartofel, nos — ogórek, nos — haczyk, każdy może być przekształcony — oświadczył lekarz — jest to prawdziwem dobrodziejstwem dla niektórych osób, wpadających formalnie w rozpacz z powodu brzydoty nosa. Ta wada po-

---

jej pierwszej posadzie; kiedy mój szef ofiarował mi gęś, ważącą 18 funtów. jako podarek gwiazdkowy...

— Istotnie miał pan szczęście... — zauważyłem.

— To samo mówili moi koledzy. Podobno to był pierwszy prezent, na jaki się „stary“ zdobył... Zazdrościli mi wszyscy, że mam do niego takie szczęście.

Westchnął ciężko.

— Cóż pan zrobił z tą gęsią? — zapytałem.

— W tem właśnie sęk!... Nie wiedziałem, co z nią zrobić... Dostałem ją bowiem w sam wieczór wigilijny — na krótko przed mojem wyjściem z biura... zawinąłem gęś w papier i wziąłem pakunek pod pachę... Był to piękny ptak, ale bardzo ciężki.

Przechodząc przez ulicę, postanowiłem wstąpić na szklankę piwa. Wszedłem do małej spokojnej gospody. Gęś położyłem na stole.

— Ależ duża gęś! — rzekł gospodarz — będzie pan jutro miał wyborną pieczeń!...

Słowa te skłoniły mnie do głębszego zastanowienia. Przyszło mi na myśl, że właściwie ten piękny ptak jest dla mnie zupełnie bezużyteczny. Miałem bowiem zamiar spędzić święta w domu rodziców pewnej młodej miss.

— Czy to była ta dama z kanarkiem?

— Nie, to było wcześniej... Ta właśnie gęś zerwała naszą znajomość... Rodzice mojej wybranej posiadali własne gospodarstwo. Przywozić im w prezencie gęś — byłoby rzeczą wielce niestosowaną, a nie znałem nikogo w Londynie, komu mógłbym ten smakowity kąsek podarować... Zapytałem więc gospodarza, czyby nie zechciał kupić odemnie gęsi?... sprzedam ją tanio — powiedziałem.

— Ja nie potrzebuję gęsi — odparł mi — moja żona kupiła już trzy na święta... Może któryś z tych panów?...

Zwracał się w stronę kilku młodych mężczyzn, którzy popijali gin[1]). Robili oni takie wrażenia, jakby wszyscy razem nie mieli dosyć pieniędzy na zakupno marnego kurczęcia, a nie dopiero tak wspaniałej gęsi! Jednakowoż największy z pośród nich obdartus rzekł, że chce gęś zobaczyć. Otworzyłem pakiet.

Młody ów drab uszkodził wydatnie moją własność, przeprowadził ze mną formalne śledztwo, w jaki sposób doszedłem do posiadania tej gęsi i wkońcu wylał na nią pół szklanki ginu.

Potem zaofiarował mi pół korony. To mnie tak rozgniewało, że chwyciwszy papier i sznurek w jedną, a gęś w drugą rękę — opuściłem lokal, nie wypowiadając już ani słowa więcej...

Byłem tak zirytowany, żem na pewien czas zapomniał, iż niosę pod pachą nieowiniętą w papier gęś, co musi wyglądać trochę komicznie. Dopiero chichot kilku małych uliczników przywołał mnie do przytomności. Zatrzymałem się pod ulicą i usiłowałem gęś znowu opakować... Nie udało mi się to jednak odrazu, bo nieznośna gęś upadła mi na ziemię... Podniosłem ją, a z nią razem przynajmniej dwa litry błota... Błotniste plamy przylgnęły do moich rąk, do ubrania i do papieru pakunkowego. W dodatku zaczął padać deszcz zmieszany ze śniegiem.

Wpadłem do pierwszego lepszego szynku, w tej nadziei, że zdołam tam sprzedać moją gęś. Lokal był przepełniony, ale żadnego amatora na gęś nie znalazłem. Oczyściłem więc tylko trochę ptaka z grubej warstwy błota, opakowałem w świeży papier i ruszyłem w dalszą drogę.

Wpadł mi gotowy pomysł. Puszczę gęś na loteryę!... Natychmiast obejrzałem się za jakimś lokalem, gdziebym mógł znaleźć odpowiednie dla tego planu towarzystwo. Kosztowało mnie to kilka kieliszków whisky, ale ostatecznie znalazłem, czego mi było trzeba: cichą, sympatyczną gospodę...

Powiedziałem gospodarzowi o moim zamiarze. Oświadczył mi, że niema nic przeciwko temu, sądzi jednak, że po rozegraniu loteryi zapłacę „kolejkę“. Zapewniłem go, że to uczynię chętnie i pokazałem mu ptaka.

— Ta gęś nie bardzo apetycznie wygląda — zauważył.

— O! to nic — ona tylko wpadła mi do błota. To się da z łatwością obmyć...

— I czuć ją jakoś dziwnie...

— To błoto. Przecież pan wie, co to jest londyńskie błoto! A przytem jeden pan wylał na nią pół szklanki ginu.

[1]) Mocna wódka angielska.

wierzchowności rozstrzyga niekiedy o losie człowieka, zwłaszcza w dziedzinie miłości... Dość wspomnieć słynny nos Cyrana de Bergerac...

— Czy to operacya długa i trudna?

— Przeciwnie, bardzo krótka i bardzo łatwa. Operacya sama trwa pół godziny, rekonwalescencya osiem do dziesięciu dni.

— W żadnym wypadku nie ma blizny?

— W żadnym. Operacya jest czysto wewnętrzna, podskórna.

Co zaś się tyczy usuwania zmarszczek, to jest to jeszcze daleko łatwiejsze.

Dr Bourguet zmieniający kształt nosa i usuwający zmarszczki, może być śmiało przyrównany do czarodzieja, co jednem skinieniem różdżki czarnoksięskiej brzydką gęsiarkę zamieniał na czarująco piękną królewnę... To też pacyentów ma mnóstwo i to nietylko z pośród kobiet, ale z pośród mężczyzn...

Odmienić swą powierzchowność na korzyść — to pokusa nielada.

Psy i koty rozsadnikiem gruźlicy.

Na ostatniem posiedzeniu paryskiej Akademii medycznej zastanawiano się nad sposobami zwalczania gruźlicy. Jedna z powag paryskiego świata lekarskiego p. Liguieres oświadczył, iż zbrodnią jest plucie w miejscach publicznych lub na ulicach i że zbrodnia ta przeciwko hygienie winna być zgłaszana do władz i odpowiednio karana przez prawo. Środek ten ochronny nie wystarcza jednakże. Zwrócono uwagę, że winniśmy strzedz się bacznie naszych zwierząt domowych, przedewszystkiem psów i kotów, które niesłychanie łatwo zarażają się gruźlicą ludzką, a następnie gdy są chore, stają się wielce niebezpieczne dla swego otoczenia. Należy zatem wystrzegać się psów i kotów w okresie, gdy zwierzęta te chudną, kaszlą, mają na pysku lub szyi jątrzące trudne do zagojenia ranki. Prawie zawsze bowiem wówczas są one chore na gruźlicę i stanowią poważne niebezpieczeństwo dla człowieka.

* * *
*



Najbrzydszy mężczyzna i najpiękniejsza kobieta Londynu.

W Londynie wydawnictwo znanego wielkiego dziennika „Times" ogłosiło konkurs brzydoty dla panów i konkurs piękności dla pań. Jury konkursowe składało się z wybitnych artystów i literatów.

Konkurs ów został już rozstrzygnięty, więc podajemy podobizny najbrzydszego mężczyzny i najpiękniejszej kobiety Londynu... Czy istotnie owa dama, która uzyskała nagrodę piękności i laureat konkursu brzydoty — są godni swych odznaczeń, to niech już nasi czytelnicy zechcą sami osądzić.

— Hm — rzekł gospodarz — ja w tej loteryi udziału nie wezmę, ale jeżeli któryś z gości będzie miał ochotę, to już jego rzecz!

Nikt się nie entuzyazmował. Naznaczyłem cenę 6 pensów i sam wziąłem los. Kelner dostał bilet gratisowy, wzamian za co miał całą rzecz puścić w ruch. Istotnie zdołał on pięciu gości wbrew ich woli nakłonić do wzięcia udziału w loteryi. Ja sam wygrałem gęś! i musiałem w dodatku zapłacić 4 szylingi za poczęstunek.

Było już późno, a do mieszkania mojego daleko... Zacząłem w duchu przeklinać gęś!... Obym jej nigdy nie był widział!... Ten przeklęty ptak, jakby ważył co najmniej 36 funtów!....

Błysnęła mi myśl, aby gęś sprzedać handlarzowi drobiu. Zacząłem się oglądać za odpowiednim sklepem. Znalazłem wreszcie na Myddleton-street. Wszedłem do sklepu i położyłem mój pakunek na ladzie.

— Co to takiego? — zapytał.

— Gęś — odparłem — sprzedam ją tanio.

Wówczas ten brutal chwycił gęś i rzucił nią we mnie. Usunąłem się na bok, ale otrzymałem jednak cios w głowę. Nie masz pan pojęcia, jak to boli, jeżeli się dostanie gęsią w głowę!

Zirytowany do najwyższego stopnia, podniosłem ptaka i rzuciłem w kupca.

Do sklepu wbiegł policyant:

— Co się tu dzieje?!

— Wyjaśniłem mu całe zajście. Właściciel sklepu stanął we drzwiach i wzywał wszystkich przechodniów na świadków mej bezczelności.

— Spojrzyjcie do sklepu — wołał— za 20 minut dziesiąta godzina!... Siedem tuzinów gęsi niesprzedanych wisi, a ten idyota pyta mnie, czy chcę kupić jeszcze jedną gęś!...

Zrozumiałem wtedy, że pomysł mój był niedorzeczny i idąc za radą policyanta, zabrałem gęś i wyniosłem się w milczeniu. Rzekłem sobie wówczas w duchu:

— Podaruję tę gęś. Wyszukam kogoś biednego, a godnego współczucia i uszczęśliwię, czyniąc prezent z tego nieszczęsnego ptaka.

Ofiarowałem gęś jakiemuś obdartusowi, który zdawał się być głodnym. Okazało się, że on tylko jest do nieprzytomności pijany.

Na Guston Road zatrzymałem jakąś zagłodzoną dziewczynkę, gwałtem wciskając jej gęś w ręce.

Odpowiedziała mi:

— Albo ja głupia! — i uciekła.

Słyszałem, jak później wołała za mną:

— Kto ukradł tę gęś?!

Rzuciłem gęś na ziemię w ciemnej ulicy. Jakiś mężczyzna podniósł ją, dogonił mnie i zażądał znaleźnego.

Zamykano już wszystkie szynki, więc wstąpiłem na ostatnią szklankę piwa, choć prawdę powiedziawszy — miałem już zupełnie dosyć, bo nie znoszę dużo alkoholu...

Chciałem znowu rzucić gęś, ale policyant miał mnie na oku i przez całą Oakley Square szedł krok w krok za mną...

Na Goalding Road próbowałem gęś rzucić na podwórze jakiegoś domu, ale i tym razem policyant udaremnił mój zamiar. Zdawało się, że cała nocna policya londyńska zmówiła się, by mi przeszkodzić w pozbyciu utrapionej gęsi.

Wreszcie znalazłem się na moście... Nie namyślając się już dłużej — rzuciłem gęś do wody. Plusnęła głośno! Odetchnąłem z prawdziwą ulgą i skierowałem kroki w stronę Randolph-street...

Tutaj chwycił mnie policyant za kołnierz i zaprowadził na inspekcyę.

Opowiedziałem inspektorowi wszystko i wyjaśniłem dlaczegom przeklętą gęś rzucił do rzeki!... Zrobił niedowierzającą minę i chciał mnie jeszcze jakieś zadać pytanie, gdy nagle wszedł sierżant policyjny i zameldował, że rzucony przezemnie do wody pakunek, wyłowiono: To było martwe niemowlę!...

Zaprotestowałem energicznie.

— To nie mój pakunek!... Ja rzuciłem do wody nie niemowlę, ale gęś!...

Ale oni mi nie wierzyli... Świętą noc przepędziłem w więzieniu!

Ostatecznie wypuszczono mnie z powodu braku dowodów, ale straciłem posadę i moja młoda miss zerwała ze mną!..

Tak... tak... nie można powiedzieć, abym wierzył w szczęście...

W dziewiczych krajach Afryki.

6 (Dalszy ciąg).

— Ludzie nasi są już uprzedzeni, kapitanie.

— I cóż mówią?

— Czują oni dobrze całe niebezpieczeństwo, jakiem nam grozi obecność obcych na pokładzie, i wszyscy gotowi są raczej rzucić ich w morze, niż mieć jakieś stosunki z nimi.

— Dobrze! Co do mnie, ponieważ będą jadali ze mną, skoro przyjdą do siebie, potrafią ich przekonać, że Osa jest najpoczciwszym z handlarzów.

W tej chwili wszedł Davis.

— Zdałem służbę Hollowayowi — rzekł, salutując po wojskowemu i oto jestem na rozkaz pański!

— Dobrze, mój chłopcze, prosiłem cię na obiad... Panie Verges, raczysz zjeść z nami?

— Chętnie, kapitanie.

Zacnym człowiekiem w szczęśliwych swoich chwilach bywał ten kapitan Noël.

V.

Gonitwa. — Walka „Osy“ z „Waleczną“. — Noc na wybrzeżu Rio Grande. — Przybycie do przylądku Negro w Bengueli.

W siedmnaście dni po wyjeździe, Osa znajdowała się na wodach Gabonu. Stale opisywała ona łuk wokoło drogi uczęszczanej zwykle przez statki i tym sposobem unikała wszelkiego nieprzyjemnego spotkania.

Czterej pasażerowie oddawna przyszli do siebie i łatwo pogodzili się z niemotą statku. Kapitan w sposób najzwyczajniejszy powiedział im, że nikt ze sztabu i załogi nie rozumie po francusku; więc ich to mało obeszło. Znajdowali to tem prostszem, że i sami mówili macierzystym jedynie językiem. kiem.

Giliasse nawet, który nigdy dwóch słów w obcem narzeczu wymówić nie mógł, był zachwycony.

— Patrz pan, jak ludzie przesadzają wszystko — rzekł do kapitana, który się go pytał, dlaczego tak go to cieszy. Powiadają, że Francuzi niechętnie ucza się obcych języków, a oto załoga złożona z pięćdziesięciu ludzi: Amerykanów, Anglików, Niemców, Greków, Włochów i Duńczyków — i ani jeden z nich nie rozumie po francusku.

— Ja sądzę — dodał Toucas — że nawet trudno byłoby im się nauczyć, bo odkąd jesteśmy, mogliby już przecież zapamiętać choćby najpospolitsze wyrazy... Tymczasem kiedy zawołam na chłopca: d a j m i o g n i a, co zdaje mi się jest łatwą do zrozumienia rzecza — wiecie panowie co robi?... oto gamoń śmieje mi się w oczy i przynosi szklankę wody.

Uwagi te obu przyjaciół wywołały na ustach kapitana uśmiech złośliwy. Podporucznik i komisarz marynarki odeszli na bok, żeby nie wybuchnąć śmiechem w oczy przełożonym swoim.

Od tego czasu młodzieńcy ci obiecywali sobie, że stary chirurg i przyjaciel jego, komisarz, staną się dla nich rozrywką wśród nudów podróży.

Przez tydzień przeszło kwestya ta lingwistyczna była nie wyczerpanem źródłem wesołości.

Giliasse i Toucas, opowiadając o długoletnim pobycie swoim w Bakel, dowodzili, że obadwaj wybornie mówią tamtejszem narzeczem, tak, że Guillois i Barthet ostatecznie prosić ich zaczęli o udzielenie im lekcyi wolofu i mandingu... Łatwo pojąć, jak zabawne sceny wynikały z pociesznego tego położenia.

Jednego wieczora kapitan oświadczył pasażerom swoim, że dzień jutrzejszy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, będzie ostatnim dniem pobytu ich na statku, i że przed zachodem słońca staną u przylądka Lopez.

Było to przy deserze. Stół O s y zastawiony był wspaniale; wina szlachetne płynęły strumieniem. Na wiadomość tę Gilliasse i Toucas nie mogli ukryć wzruszenia.

— Kapitanie! — zawołał chirurg, usiłując wznieść toast — nie zapomnę nigdy gościnności królewskiej, jaka... z jaką... stare wina pańskie mianowicie... Dalej mówić nie mógł, usiadł więc wypijając kieliszek dla nadania sobie kontenansu.

— Niewątpliwie — dodał Toucas, chcąc podtrzymać honor korporacyi— przewyborne zapasy, któreś pan zabrał z sobą, nie zwietrzały w kredensie, a jeżeli komisarz i ajent dostali tylko pięć procent od dostawcy, to niepodobna...

Barthet i Guillois dusili się od śmiechu.

— Niepodobna — powtórzył trzykrotnie stary biuralista — mianowicie, jeżeli rachunkowość prowadzi się należycie, tak, że kontrola ogólna widzi tylko... Giliasse tryumfował; wierny przyjaciel jego nie był w stanie również wykrztusić oracyi swojej... Toucas zbyt lubił burgunda, który na statku był niepośledni, a tego wieczora, wypił go więcej niż zwykle. Więc jąkając się jeszcze chwil kilka, rzucił się roztkliwiony w objęcia kapitana z oświadczeniem, że najgoretszem jego życzeniem jest umrzeć jako komisarz O s y.

— Nie opuścimy pana — zawołał Giliasse w nadmiarze wzruszenia — zostaję chirurgiem statku.

— Zgoda panowie — odpowiedział Noel — w danym razie przypomnę wam to oświadczenie.

Scena komiczną się stawała i prawdopodobnie długoby jeszcze się ciągnęła, gdyby nagle majtek stojący na gnieździe bocianiem, zbliżano się bowiem do lądu, nie zawołał:

— Żagiel na prawo przed nami.

Kapitan Noel wyskoczył natychmiast na pokład i skierował lunetę na miejsce wskazane. Przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca dojrzał wyraźnie na krańcu widnokręgu małe żagle wierzchołkowe fregaty, zlewające się prawie z powierzchnią morza. Było to ledwie przelotne zjawisko, bo noc, która pod temi szerokościami geograficznemi prawie bez zmierzchu zapada, w kilka minut czarny płaszcz swój rozpostarła nad oceanem.

— Panie Verges — rzekł kapitan zcicha — jesteśmy na wodach okrętu strażniczego; com przewidywał, nastąpiło. Każ ściągnąć żagle trójkątne i przedni, dajmy się wyprzedzić statkowi, który zdaje się płynąć w tym samym co my kierunku. O północy skieruje się pan wprost ku lądowi, a jutro o świcie, wysadzimy naszych pasażerów na przylądku Lopez.

— Nie chcesz pan dopłynąć do Pongara?

— Nie myślę wcale. Dopłynęliśmy tu bez przeszkody, nie chcę ryzykować dalej. Poczciwcy ci, niech ich piorun trzaśnie, znajdą sobie u Inengasów, albo u krajowców Yombe łódź, która ich odwiezie do Gabonu.

W tej chwili gwałtowny wybuch śmiechu dał się słyszeć z sali jadalnej i ozwał się przepity głos Toucasa:

— Tak jest, młodzieńcy, gdyby rodzina moja nie przeszkodziła mi iść za mojem powołaniem, miałbym dziś dwadzieścia tysięcy franków dochodu...

I dwaj przyjaciele starzy zaintonowali jakąś pijacką piosenkę.

— Odeślę tych opojów do ich kajuty — rzekł Noel zadumany — a potem przyjdziesz pan pomówić ze mną. Dziś nie będziemy spali, panie Vérges...

Giliasse i Toucas podtrzymywani przez młodszych współbiesiadników swoich, zeszli tryumfalnie między pomosty, a wesołość ich długo jeszcze przerywała ciszę na pokładzie.

Po umniejszeniu żagli i wydaniu rozkazów Hollowayowi, który obejmował kolej służbową o północy, dwaj oficerowie zamknęli się w salonie okrętowym, a skoro cisza zaległa stopniowo, galiota spokojnie sunęła po falach, zbliżając się ku lądowi...

O czwartej rano, kiedy Verges zluzował pierwszego porucznika, zjawił się kapitan, a zawoławszy Hollowaya, który zmierzał do swej kajuty, kazał mu obudzić palaczów i rozpalić pod kotłami.

— Na wszelki przypadek trzeba, żebyśmy gotowi byli — rzekł — jeżeli bowiem statek spotkany wczoraj jest okrętem strażniczym, czego pewien jestem prawie, to być bardzo może, że rano spotkamy go na naszych wodach, mianowicie, jeżeli nas dostrzegł.

(C. d. n.),

Jak inne narody święcą wigilię.

Zwyczaje wigilijne w Ameryce, Anglii, Norwegii. Grecyi, Włoszech, Hiszpanii.

Żadne święto chrześcijańskie nie jest obchodzone tak uroczyście, a zarazem tak rozmaicie, jak Boże Narodzenie, Drzewka, zwyczaj niemiecki, przeszedł do krajów słowiańskich, do Anglii, a nawet do Ameryki Północnej.

Wedle panującej tam legendy, św. Mikołaj, patron grzecznych dzieci, pod postacią karzełka, okrytego futrami w noc wigilijną wchodzi kominem do mieszkań i w pończoszki, położone naumyślnie w tym celu przy kominku lub łóżeczkach, wsuwa rozmaite zabawki.

Wieczór wigilijny uświęcony bywa w Ameryce innym jeszcze zwyczajem. We wszystkich prawie hotelach, restauracyach i kawiarniach rozdawany jest w tym dniu darmo napój jajeczny (egg nogg). Na tydzień przedtem wywieszone są w tych lokalach zaproszenia. Korzysta z nich mnóstwo osób, a gospodarze przesadzają się w częstowaniu przysmakami. Pod koniec śniadania podają punch, przyrządzony z mleka, jaj, wódki i korzeni.

Dzień wigilijny jest w Ameryce Północnej uważany za bardzo szczęśliwy do zawierania związków małżeńskich. Nigdy też nie odbywa się tyle ślubów, co w tym dniu.

W niektórych powiatach angielskich przechowywał się zwyczaj obchodzenia Wigilii tańcami ulicznymi, oraz igrzyskami na świeżem powietrzu, w których św. Jerzy odgrywa główną rolę. Na wyspach Szetlandzkich młodzi chłopcy przebierają się w fantastyczne stroje i przebiegają ulice, grając na skrzypcach. Gdzie tylko drzwi są otwarte, tam czeka ich obfity poczęstunek i zabawa. Mnóstwo łodzi wypływa w wieczór wigilijny na morze, wioząc rybakom biblie, książki świeckie, lekarstwa, tytoń i ciepłą odzież.

Piękny obyczaj wigilijny panuje w Norwegii. Tam ptaki bywają „zapraszane do stołu“. Przed domami stawiają na słupach deseczki, posypane obficie ziarnem, aby i Boże śpiewaki mogły brać udział w radości z powodu Narodzin Chrystusa.

Pewien Anglik, który spędził Wigilię na wyspie Chios, opowiada, że w dniu tym dzieci biegają z piosnkami od domu do domu i otrzymują orzechy, figi, rodzynki itp. Mieszkańcom tej wyspy nad morzem Egejskiem znane jest Boże Drzewko; przystrajają je nie rodzice dla dzieci, lecz dzierżawcy i czynszownicy dla właściciel ziemskich. Na dużym pręcie przywiązują oni gałązki drzewa oliwnego, mirtu i pomarańczy, wtykają w nie geranje, oraz inne kwiaty i tę „południową choinkę“ obwieszają różnymi owocami.

W pierwszy dzień świąt ze trzystu czynszowników zjeżdża z okolicznych wiosek z takiemi gałęziami w ręku, do siodeł mają przytroczone po parę sztuk drobiu. Przed domem właściciela gruntu zatykają gałęzie, następnie czerpią dla niego ze studni tyle wody, ile potrzeba na święta. Za ten podarek i za tę usługę otrzymują suty obiad i „gościńce“.

Nigdzie na świecie wieczór wigilijny nie jest obchodzony tak hałaśliwie i wesoło, jak w Neapolu. Fajerwerki, pochody z palącem łuczywem, iluminacye domów i gmachów, ruch, gwar, śmiechy, przerywane są głosem dzwonów, wzywających na Pasterkę.

W Hiszpanii panuje zwyczaj niepraktykowany w żadnym innym kraju. Oto w noc wigilijną gubernatorowie wojskowi Madrytu oraz innych większych miast, odwiedzają więzienia wojenne i obdarzają wolnością najmniej winnych przestępców. Za nadejściem zmroku, przed obrazami Matki Boskiej zapalane są świeczki i wszyscy czuwają, aby o świcie udać się na „Misa del Gallo“ (msza pierwszych kurów), jak zowią w Hiszpanii Pasterkę.

W Anglii nad drzwiami zawieszają gałęzie jemioły, pod taką gałęzią wolno kawalerom całować panny bezkarnie; korzysta z tego wielu nieśmiałych kawalerów, to też niejedno małżeństwo w tym dniu się kojarzy. Pierwszy dzień świąt obchodzony bywa obiadem w kółku rodzinnem z indykiem, faszerowanym kasztanami i słynnym „plum puddingiem“.

Francya przyswoiła sobie gwiazdkowe zwyczaje angielskie i niemieckie, a więc: choinkę, pudding, gałęzie jemioły. W południowych jej prowincyach głowa rodziny zapala wigilijną kłodę w kominie; ma ona jakoby płonąć do wiosny.

Najszczytniejszym jednak obyczajem wspólnym wszystkim krajom cywilizowanym, jest obdarzanie w tym dniu ubogich dzieci. Doroczna „Gwiazdka“ rozprasza, bodaj na chwilę, mroki nędzy i głodu.

Od Wydawnictwa.

W celu uregulowania nakładu „Życia i Powieści“, prosimy uprzejmie PT. Prenumeratorów o jaknajszybsze nadsyłanie prenumeraty na następny kwartał. Nie nadsyłającym prenumeraty do dnia 10 stycznia, wstrzymaną zostanie przesyłka pisma.

Z tajemnic życia pozagrobowego.

Zaginiona pożyczka państwowa. — Dziwny sen. — Duch zmarłej wskazuje skrytkę. — Interesujący fakt z dziedziny niezbadanych tajemnic okultyzmu.

Mamy znów przed sobą niezmiernie ciekawy fakt z dziedziny tych, których nauka w dobie obecnej dostatecznie objaśnić nie potrafi. Fakt ten ściśle autentyczny, przytaczamy poniżej ku rozwadze osób, interesujących się bliżej tego rodzaju sprawami.

Mieszkaniec Boru Zapilskiego (gm. Węglowiec), Józef Korzekwa, nabył przed kilku miesiącami w jednym z banków częstochowskich dwie asygnaty pożyczki państwowej (numer 34.087 na 1000 rb. i nr. 49.266 na 500 rb.) Mniej więcej w tym czasie zmarła żona Korzekwy, a wkrótce po jej zgonie, porządkując papiery, zauważył Korzekwa brak owych asygnat.

Przypuszczając, że „pożyczka“ została skradziona, Korzekwa poczynił zastrzeżenia, niemniej wszakże dotkliwa strata była dlań powodem ciągłego zmartwienia.

I oto pewnej nocy, 3 miesiące po zgonie żony, Korzekwa miał dziwny sen. Ukazała mu się zmarła i rzekła:

— Nie martw się. Pożyczkę w czasie twojej nieobecności, obawiając się złodziei, ukryłam pod cegłą, przy piecu.

To mówiąc, widmo wskazało dokładnie ową cegłę, poczem znikło.

Korzekwa pod wrażeniem nerwowego wstrząsu, jakiego doznał skutkiem tej niespodziewanej wizyty, obudził się natychmiast i zerwawszy się z łoża, wyjął wskazaną cegłę. Jakież było jego zdumienie, gdy rzeczywiście znalazł tam opłakaną zgubę — obie asygnaty cało i nienaruszone!

Zaiste rzadki wypadek interwencyi osób zmarłych, tym razem jednak ściśle autentyczny, pozbawiony wszelkich pierwiastków fantazyi.

Krakowiaki aktualne.

Skacze sobie sroczka,
Nie boi się sideł,
Ceny także skaczą,
Choć nie mają skrzydeł.
Oj, dana!

Mamy różne Rady,
Mamy Komitety,
Tylko w gębę włożyć
Niema co, niestety!
Oj, dana!

Żeń się ze mną, Jasiu,
Nie bądźże uparty,
Choć brzydkam na gębie,
Posag mój — nie żarty!
Posag mam ogromny
Na te ciężkie czasy:
Weźmiesz cetnar węgla
I pół garnca kaszy.
Oj, dana!

ALEKSANDER DUMAS.

HRABIA MONTE-CHRISTO.

5 (Ciąg dalszy).

— A więc panie Dantes, wkrótce już będziemy mieli wesele, — rzekł Danglars, witając młodych kochanków.

— Jak można będzie najprędzej, panie Danglars, dziś wszystko ułożymy u mojego ojca, jutro, lub najdalej pojutrze zrękowiny tu, w tem samem miejscu; przyjaciele nasi nie odmówią nam zapewne udziału w uczcie, pan Danglars ma się rozumieć, równie i ty kochany Caderoussie przyjdziecie, prosimy was.

— Ferdynand, — rzekł Caderousse, — śmiejąc się chrypliwie, — będzie także na tej uczcie?

— Brat żony mojej jest i moim bratem, — rzekł Edmund, i byłoby nam bardzo przykro, gdybyśmy go z nami nie widzieli w tak uroczystej chwili

Ferdynand otworzył usta w zamiarze powiedzenia czegoś, ale głos zamarł w piersiach i nie wydał ani słowa.

— Dziś przygotowania, jutro lub pojutrze zrękowiny, niech dyabli biorą, nie tracisz czasu kapitanie.

— Danglarsie, — rzekł Edmund z uśmiechem, — powiem ci, jak przed chwilą Mercedes powiedziała Caderoussowi: nie dawaj mi tytułu, do którego nie mam jeszcze prawa, to może mi nieszczęście sprowadzić.

— Ah, przepraszam, — odpowie Danglars. Mówiłem sobie poprostu, że się niezmiernie spieszysz. Cóż u dyabła! mamyż jeszcze dość czasu, Faraon nie prędzej wyjdzie na morze, jak za trzy miesiące.

— Panie Danglars, do szczęścia trzeba się spieszyć; bo kto tyle wycierpiał, ten już stracił wiarę w szczęście, przynajmniej nie łatwo mu wierzy. Nie sam wzgląd osobisty jednak zmusza mnie do tego pośpiechu, mam interes w Paryżu.

— Czy tak? w Paryżu? Pierwszy raz będziesz w Paryżu Dantesie? — Pierwszy. — Masz tam jaki interes?

— Nie mój, mam dopełnić ostatniego zlecenia naszego poczciwego kapitana Leclerc, pojmujesz Danglarsie, że to święty obowiązek. Ja tam jednak nie zabawię dłużej jak tyle, co potrzeba na drogę tam i napowrót.

— A naturalnie, — rzekł głośno Danglars. Ciszej zaś dodał: — do Paryża, zapewne, aby wręczyć list kapitana podług adresu. Hm, do kata, ten list wprowadza mnie na jedną myśl, myśl wyborną do pioruna! O panie Dantes, jeszcześ na Faraonie nie zajął kwatery pod numerem 1-szym. Potem obrócił się w stronę, gdzie Edmund się oddalał: — Szczęśliwej podróży! — zawołał.

— Dziękuję. — odpowiedział Edmund skinąwszy po przyjacielsku głową Danglarsowi.

I odeszli kochankowie spokojni i szczęśliwi.

ZMOWA.

Danglars odprowadził wzrokiem Edmunda i Mercedes aż do bramy Świętego Mikołaja, poczem obróciwszy się, spostrzegł Ferdynanda bezwładnie siedzącego bladego i drżącego. Caderousse tymczasem mruczał jakąś piosnkę pijacką.

— Kochany panie, — rzekł Danglars do Ferdynanda, — dziwna rzecz, ale to małżeństwo nie wszystkim jakoś w smak pójdzie.

— Ono mię do rozpaczy przyprowadza, — rzekł Ferdynand. — Czy pan kochałeś Mercedes? — Od pierwszej chwili poznania, kochałem ją i kocham!

— I zamiast radzić sobie, żeby temu zapobiedz, wyrywasz sobie włosy z głowy? Do wszystkich dyabłów! Inne miałem wyobrażenie o charakterze i energii waszego narodu.

— Jakże chcesz, żebym poradził? — zapytał Ferdynand.

— Alboż ja wiem? albo to do mnie co należy?

— Przecież ja się nie kocham w pannie Mercedes, tylko ty. Szukaj a znajdziesz, mówi Ewangelia. — Jużem był znalazł. — Cóżeś znalazł?

— Chciałem go zabić; ale ona mi zapowiedziała, że jeśli jakiekolwiek bądź, nieszczęście spotka jej narzeczonego, to się zabije sama.

— Zapewne! Tak się to mówi, ale nie zawsze się robi. — Ty nie znasz mój panie tej dziewczyny, onaby w jednej chwili zrobiła tak jak grozi.

— Głupia! — rzekł z cicha Danglars, — niech się zabije lub nie, to mi wszystko jedno, byle Dantes nie został kapitanem.

— A nim Mercedes umrze, — rzekł Ferdynand z niewzruszonem postanowieniem i spokojnie — ja umrę pierwej.

— Oj te miłostki! — rzekł Caderousse głosem coraz bardziej niewyraźnym, — to jedno, czego ja pojąć nie mogę.

— Spróbujmy tedy, — rzekł Danglars, — zdajesz mi się być tęgim chłopcem, niech dyabli biorą, wartoby cię wydobyć z nieszczęścia; ale...

— Tak jest warto, — rzekł Caderousse.

— Mój kochany — odpowie Danglars, — jesteś już w trzech czwartych pijany, skończ butelkę, a będziesz całkowicie. Pij więc i nie mieszaj się tu do nas. Do naszej sprawy trzeba mieć trzeźwą i rozsądną głowę.

— Ja, pijany? dobrze! jeszczebym cztery twoich butelek wypił, co wyglądają, jak flakoniki z kolońskiej wody. Mości Panfilu, wina! I aby dowieść tego, co rzekł, uderzył co siły szklanką o stół.

— Mówiłeś więc szanowny panie, — przerwał Ferdynand, — oczekując chciwie na dalszy ciąg uciętej rozmowy.

— Co to ja mówiłem? nie przypominam sobie. Ten pijak Caderousse porwał mi i poplątał wątek myśli.

— Będę pił, póki każesz: tem gorzej dla tych co się boją wina, widać że mają jakieś złe myśli na sercu i lękają się, aby wino ich nie wyspowiadało.

I zaczął Caderousse ostatnie dwa wiersze piosnki bardzo wówczas powszechnej.

Grzesznik największy, co wodę pije,
A dowód tego w potopie żyje.

— Mówiłeś pan, — rzekł Ferdynand, — że chciałbyś bardzo wydobyć mię z nieszczęścia, ale dodałeś w końcu...

— A prawda, i dodałem w końcu, że byle tylko Dantes nie ożenił się z tą, którą ty kochasz, to i po twojem nieszczęściu, a Dantes może nie umrzeć i małżeństwo mimo to nie przyjdzie do skutku.

— Śmierć ich tylko rozdzieli, — rzekł Ferdynand.

— Gadasz jak ślimak, mój przyjacielu, — rzekł Caderousse, ot Danglars to mi mówca, to filut istny; on ci zaraz dowiedzie, że głupstwa pleciesz. Dowiedź mu Danglarsie, już ja za ciebie odpowiadam: powiedz mu przecie, że Dantes niekoniecznie musi umrzeć; zresztą szkodaby było Dantesa, gdyby umarł, to tęgi chłopak, ja go lubię, lubię Dantesa! Ferdynand powstał zniecierpliwiony.

— Daj mu pokój, — rzekł Danglars wstrzymując młodzieńca, pijany nigdy wiele złego nie zrobi; nieobecność, równie dobrze rozdziela jak i śmierć, a przypuść na chwilę, że Edmunda i Mercedes rozdzielają

mury więzienne, jużby byli tak dobrze rozłączeni, jakby ich kamień grobowy dzielił.

— Prawda, i jak wyjdzie z więzienia, — rzekł Caderousse, który z niedobitkami zdrowego rozsądku wciskał się jak mógł do rozmowy, jak wyjdzie z więzienia, a jeszcze taki Dantes, to się zemści. — Mniejsza o to, mruknął Ferdynand.

— W końcu, — rzekł Caderousse, — zacóżby Dantesa mieli wsadzić do kozy? nikogo nie okradł, nie zabił, nie zamordował.

— Cicho bądź, — rzekł Danglars.

— Nie będę cicho, — odrzekł Caderousse, — nie będę i muszę wiedzieć, za co Dantesa mają wsadzić do kozy. Ja kocham serdecznie Dantesa, zdrowie twoje Dantesie i wychylił jeszcze jedną szklankę wina.

Danglars zbadał już dobrze w obłąkanym wzroku krawca, skutki ostateczne wina, i obracając się do Fernanda, mówił dalej:

— Rozumiesz więc, że nie ma bynajmniej potrzeby zabijać go. — A naturalnie, skoro jak mówisz, jest środek uwięzienia Dantesa natychmiast. Ale jakiż to środek. Masz-że go?

— Dobrze poszukawszy — rzekł Danglars — można znaleźć. Ale, ale, i pocóż ja też mieszam się do tego? to do mnie nie należy.

— Nie wiem, czy to należy do ciebie, lub nie — odparł Fernand, chwytając go za rękę — ale to wiem, że masz jakiś osobisty powód do nienawiści przeciw Dantesowi. Kto sam nienawidzi, przeczuwa nienawiść w drugich.

— Ja nienawidzę Dantesa? słowo daję, nie mam najmniejszego powodu! Widzę, żeś nieszczęśliwy i to twoje nieszczęście zajęło mnie; oto wszystko. Teraz, mój panie, skoro myślisz, że ja działam z własnych pobudek, bądź zdrów; rób sobie i radź, jak chcesz.

To mówiąc Danglars, udał że wstaje i chce odejść.

— Nie odejdziesz — rzekł Fernand — nie odejdziesz; nie obchodzi mnie wcale, czy ty masz co do Dantesa, lub nie, wszystko mi jedno, ja mam do niego! ja sam wyznaję to głośno! znajdź środek, ja go wykonam, byleby tylko nie zabójstwo, bo Mercedes powiedziała, że zginie, jeżeli Dantesowi stanie się co złego.

Caderousse, który już położył głowę na stole, powstał nagle i spoglądając obłąkanym i błędnym wzrokiem na Fernanda i Danglarsa, zawołał:

— Co? zabić Dantesa! kto tu mówi o zabiciu Dantesa. Ja na to nie pozwolę, to mój przyjaciel, on dziś rano chciał się podzielić ze mną pieniądzmi, jak ja niegdyś z nim się podzieliłem. Nie pozwolę na śmierć Dantesa!...

— A któż to mówi, głupcze, o zabiciu jego? — odpowie Danglars — żartujemy sobie i nic więcej. Wypij jego zdrowie — dodał, nalewając szklankę Caderoussowi — i daj nam pokój.

— Dobrze, dobrze, zdrowie Dantesa! — odparł Caderousse, wychylając szklankę do dna. — Zdrowie Dantesa! zdrowie przyjaciela!

— Ależ środka! środka na Boga — rzekł Fernand. — I jeszcześ go nie znalazł? ty sam?

— Nie; nie znalazłem, przecież tyś miał wymyślić.

— Prawda — rzekł Danglers — Francuzi mają tę wyższość nad Hiszpanami, że ci wynajdują, a Hiszpanie spełniają.

— Wynajdź więc — rzekł z niecierpliwością Fernand.

— Markier, pióra, kałamarza i papieru! — zawołał Danglars.

— Oto są — rzekł markier, podając materyały piśmienne.

— Zastanowiwszy się dobrze — rzekł Caderousse, opuszczając rękę na papier — to tym sposobem łatwiej i pewniej można zabić człowieka, niż w jakim ciemnym lesie. Ja zawsze więcej się bałem pióra, kałamarza z atramentem i arkusza papieru, jak szpady lub pistoletu.

— A to urwis, nie tak pijany, jak się zdaje, nalej-no mu Fernandzie jeszcze jednę szklaneczkę.

Ferdynand nalał Caderoussowi, a ten, jak prawdziwy pijak, ściągnął rękę od papieru prosto do szklanki i wychylił.

— A więc — zaczął Katalończyk, spostrzegłszy, że ostatek przytomności po tej szklance zaczął odstępować Caderoussa.

— A więc, powiedziałem — rzekł Danglars — że gdyby z powodu podróży, którą tylko co Dantes odbył, zawadziwszy w niej o Neapol i wyspę Elbę, doniósł kto teraz do prokuratora królewskiego, że jest ajentem bonapartystowskim.

— Ja doniosę natychmiast, ja sam — ozwał się żywo młodzieniec.

— Dobrze jest, ale tam każą ci zaraz podpisać deklaracyę, stawią cię przed oczy temu, któregoś oskarżył. Jużto jabym ci dostarczył dowodów oskarżenia, ale cóż stąd? Dantes nie zostanie przecież za to wiecznie w więzieniu; dziś, czy jutro, czy kiedy bądź uwolnią go, a wtenczas biada temu, co go tam wtrącił!

— Ja jednej rzeczy tylko pragnę — rzekł Fernand — jednej, aby on zaczął ze mną.

— Dobrze, a Marcedes? Marcedes, któraby cię znienawidziła, gdybyś choćby zadrasnął jej ukochanego Edmunda!

— Prawda, masz słuszność, Danglarsie.

— Otóż widzisz, nie tak się robi: lepiej wziąć po prostu, jak oto ja biorę pióro, umaczać go w atramencie i lewą ręką napisać, aby nikt charakteru nie poznał, króciuteńką denuncyacyę.

Jak powiedział, tak i zrobił; Danglars napisał lewą ręką, odmiennym zupełnie od zwyczajnego swego charakteru, następujących kilka wierszy i podał Fernandowi, które ten półgłosem odczytał:

„Wierny poddany tronu i religii, zawiadamiam niniejszem prokuratora królewskiego, że niejaki Edmund Dantes, porucznik okrętu Faraon, przybyły dzisiejszego rana ze Smyrny, zawijał poprzednio do Neapolu i Porto-Ferajo i otrzymał list od Murata do Uzurpatora i od Uzurpatora do komitetu Bonapartystowskiego w Paryżu.

Władza może się przekonać o jego występku, jeśli go zechce aresztować, znajdzie bowiem list ten albo przy nim, albo u jego ojca, albo w jego pokoiku na statku Faraon“.

— Zapewne, że więcej nie trzeba — ozwał się Caderousse, który z największem natężeniem słuchał i instynktownie wyczuł, jakie nieszczęście ściągnąć może podobne doniesienie; — zapewne, że więcej nie trzeba; ale to podłość! — I sięgnął ręką po list.

— Naturalnie, że podłość — rzekł Danglars, odsuwając z lekka rękę Caderoussa — co innego mówić, co innego zrobić; to żart tylko, ja pierwszy ująłbym się, gbyby coś złego miało spotkać poczciwego Dantesa.

Wziął list, zmiął go w ręku i rzucił w kąt altany.

— Tak mów — rzecze Caderousse — Dantes jest moim przyjacielem i nie pozwolę, aby mu jaką krzywdę wyrządzono.

— Kto u dyabła myśli tu wyrządzić mu jaką krzywdę! ani ja, ani Fernand — rzekł Danglars i podniósł się uważając na młodzieńca, który w milczeniu miał na oku denucyacyjny dokument w kącie porzucony. (C. d. n.).

ARTUR CONAN-DOYLE.

Widmo przeszłości.

6 (Ciąg dalszy).

— Więc to wskutek manji ojca osiwiał mój brat, a matka zamieniła się w cień istoty żyjącej?

— Bezwątpienia, — odpowiedziałem, — rozdrażnienie i ciągły niepokój, w jakim znajduje się generał, mogły podziałać tak zgubnie na wrażliwą, nerwową ich naturę.

— Nie, nie — zawołała Gabryela z głębokiem smutkiem. — Ja również widzę jego zdenerwowanie i niepokój, a nie ciąży mi to tak okropnie. Cała różnica polega na tem, że oni znają jego straszną tajemnicę, ja zaś jej nie znam.

— Moja droga, dobre czasy duchów i upiorów minęły bezpowrotnie. Obecnie nikomu nie zjawiają się widma, ani mary z za grobu. Wierz mi, pani,— cała tajemnica zawiera się w tem, że mózg ojca pani nie wytrzymał podzwrotnikowych upałów indyjskiego klimatu.

Nie wiem, coby mi na to odpowiedziała Gabryela, w tej chwili bowiem drgnęła i przestraszona czemś odskoczyła odemnie; twarz jej jakby skamieniała, a oczy pozostały szeroko otwarte.

Poszedłszy za jej wzrokiem, ujrzałem na jednem z drzew wykrzywioną gniewem i bólem twarz starego generała. Domyśliwszy się, że został zauważony, starzec wyszedł z za drzewa i podszedł ku nam. Brodę miał zwichrzoną, a głęboko osadzone oczy gorzały demonicznym blaskiem z pod ciężkich, znużonych bezsennością powiek.

VI.

W jaki sposób stałem się członkiem Cloomberskiego garnizonu.

— Idź do swego pokoju, — zawołał ostro generał, stając pomiędzy nami i rozkazującym gestem wskazując Gabryeli tajemniczy zamek.

Gabryela rzuciła na mnie ostatnie, błagalne spojrzenie, przeszła przez otwór w parkanie i wolnym krokiem podążyła w kierunku domu. Wówczas generał zwrócił się do mnie, a na twarzy jego malował się gniew tak straszliwy, że mimowoli cofnąłem się, ściskając w ręku ciężką, dębową laskę.

— Pan... pan... — przemówił starzec urywanym głosem, przyciskając drżącą rękę do gardła, jakby go złość dusiła. — Pan ośmieliłeś się wedrzeć się do mego domu. Czyż pan sądzi, że ścianę tę wzniosłem po to, iżby wszyscy tu przychodzili? O, śmierć niedaleko była od pana. Do ostatniego dnia swego życia nigdy nie będziesz pan od niej bliżej. Patrz pan, — wyjął z zanadrza krótki, gruby pistolet. — Gdyby jeden krok ośmielił się pan postawić na mojej ziemi, zastrzeliłbym pana jak psa. Nie życzę sobie, aby kręcili się tu próżniacy i włóczęgi. Wiem dobrze, jak należy się z nimi obchodzić, bez względu na to, czy twarze ich są czarne, czy białe.

— Sir, — rzekłem, — nie chciałem uczynić nic złego, i w istocie nie pojmuję pańskiego wzburzenia. Jednak, pozwól pan sobie zauważyć, że wciąż jeszcze celujesz we mnie, ręka zaś pana drży, łatwo więc może nastąpić wystrzał. Jeżeli nie schowa pan pistoletu, będę zmuszony, dla samoobrony, uderzyć pana laską po ręce.

— Pocóż więc tutaj pana dyabli przynieśli? — zapytał generał spokojniejszym już głosem, chowając pistolet do kieszeni. — Czyż człowiek nie może żyć spokojnie, aby go nie oglądano i nie szpiegowano? Czy nie ma pan nic lepszego do roboty? Jakim sposobem poznał się pan z moją córką? Czego pan chciał dowiedzieć się od niej? Nie przyszedł pan tutaj chyba jedynie przypadkowo!

— O nie, — rzekłem śmiało, — nieprzypadkowo. Nieraz już widywałem pańską córkę i miałem sposobność poznać wielkie zalety jej serca i umysłu. Przyszedłem tutaj dziś, aby się z nią zobaczyć, jesteśmy bowiem po słowie.

Generał był zdumiony.

— Nie radzę panu starać się jej zobaczyć, — odezwał się po chwili, — źle mogłoby to się skończyć. Przytem córka moja nie jest dla pana.

— Nie chce pan chyba spotwarzać własnej córki?

— O, jej nie można nic zarzucić. Nikomu jednak nie radziłbym wejść w naszą rodzinę. Powiedz pan, czemu nie powiadomiliście mię o wszystkiem?

— Obawialiśmy się, sir, że pan nas rozłączy — odpowiedziałem, czując, że zupełna otwartość będzie najlepszą drogą w drażliwej sytuacyi. — Być może, żeśmy się mylili. Zanim pan cokolwiek postanowi, racz pan zważyć, że idzie tu o nasze wspólne szczęście. W pańskiej mocy jest rozdzielić nasze ciała, dusze nasze, jednak połączyły się nazawsze.

— Sam pan nie wie, o co pan prosi — rzekł generał, już bez gniewu w głosie. — Między panem, a członkami rodziny Levis leży przepaść, której niczem zapełnić niepodobna.

Na te słowa duma moja zawrzała.

— Może, przepaść ta nie jest tak wielka, jak się panu wydaje — rzekłem chłodno. — Pochodzę z dobrego rodu, z ojca strony; matka zaś moja nosiła nazwisko Baguen z Baguen. Zapewniam pana, że bynajmniej nie ustępujemy pańskiemu rodowi.

— Źle mnie pan zrozumiałeś. To my nie możemy zbliżyć się do pana. Istnieją przyczyny, dla których Gabryela musi żyć i umrzeć samotną. Pan nie powinien się z nią ożenić.

— Ależ sir — nalegałem — ja sam chyba najlepiej mogę osądzić, co jest dla mnie złem lub dobrem. Niczego bardziej nie pragnę, jak, żeby kobieta, którą kocham, została moją żoną. Jeżeli tylko to stoi na przeszkodzie naszemu związkowi, to powinien pan godzi się na moją prośbę; śmiało stawię czoło każdemu niebezpieczeństwu, wytrzymam każdą próbę; ożeniwszy się z Gabryelą, zniosę wszystko z rozkoszą.

— Młody uparciuchu — rzekł generał z uśmiechem — łatwo to nie bać się niebezpieczeństwa, gdy go się nie zna.

— Cóż to więc za niebezpieczeństwo? — zawołałem. Nic niema na ziemi, coby mię zmusiło do opuszczenia Gabryeli. Na Boga! powiedz mi pan wszystko!

— Nie, nie, to na nic się nie przyda — odpowiedział z westchnieniem, a zamyśliwszy się, dodał, jakby do siebie. — A może lepiej byłoby zwierzyć mu się?

Stał zadumany, zapomniawszy o mej obecności.

— Otóż, West — rzekł wreszcie — mam poważne powody sądzić, że na dom mój urządzony będzie napad. Powiedz pan, czy w takim wypadku, mogę liczyć na pańską pomoc?

— Przyrzekam ją panu z całego serca.

— A więc, jeśli kiedykolwiek wezwę pana jednem słowem: „przyjeżdżaj!", lub też poprostu: „Cloomber", wiedz pan, że wzywają pana na pomoc. Przyjedzie pan wówczas w najburzliwszą noc?

— Bezwarunkowo — odpowiedziałem — czy mogę jednak się dowiedzieć, jakie właściwie grozi panu niebezpieczeństwo?

— Jeżeli pan będzie wiedział wszystko, to i tak nic się nie zmieni. Może nawet nie zrozumiesz mię pan. Ale teraz muszę cię już pożegnać — dodał generał — zbyt długo tu jestem. Pamiętaj więc pan, że uważam go za członka garnizonu Cloomber-Hall'u.

— Jeszcze jedno pytanie — rzekłem pospiesznie — czy mogę się spodziewać, że nie będziesz pan gniewał się na córkę za wszystko, com panu powiedział? Tylko przez wzgląd na mnie, Gabryela trzymała w tajemnicy naszą znajomość.

— Dobrze — odpowiedział generał ze zwykłym sobie, chłodnym, nieprzeniknionym uśmiechem na ustach. — Co zaś do kwestyi waszego małżeństwa, radzę panu, jak przyjaciel, wszelkiej o niem poniechać myśli; jeżeli zaś uważa pan to za niemożliwe, proszę, aby w każdym razie obecnie nie było o tem mowy. Nie można przewidzieć, jaki obrót wezmą wypadki w najbliższej przyszłości. Dowidzenia!

Generał oddalił się szybko i wkrótce znikł za drzewami parku. (C. d. n.).

HUMOR i SATYRA.

Wizyta pana inspektora.

Inspektor szkolny, który miał tytuł radcy, zwrócił przy wizytacyi szkoły uwagę nauczyciela na to, że uczniowie za mało są grzeczni. Gdy np. o nazwisko pytał ucznia, który nazywał się Kazimierz Wiszniewski, to uczeń odpowiadał tylko: Kazimierz Wiszniewski, a powinien dać grzeczniejszą odpowiedź: Nazywam się Kazimierz Wiszniewski, panie radco. — Nauczyciel, odpowiednio do tej uwagi, przyuczał chłopaków do grzeczności.

Po jakimś czasie inspektor, znowu przyjechawszy, natrafił w którejś klasie na naukę religii. Nauczyciel wykładał właśnie o grzechu pierworodnym. Radca sam rozpoczął pytać uczniów i zagadnął jednego z nich:

— Powiedz mi, jakie słowa wymówił Bóg, ogłaszając Adamowi karę za grzech?

Uczeń odpowiedział:

— „Przeklęta będzie ziemia dla ciebie", panie radco!

Inspektor szybko zwrócił się do innego ucznia z zapytaniem:

— Ty powtórzysz mi słowa, jakie Bóg do węża powiedział.

Uczeń na to:

— „Na brzuchu twoim czołgać się będziesz", panie radco!

Inspektor jeszcze prędzej niż przedtem, zwrócił się do innego znowu chłopaka ze słowami:

— Mów dalej!

Chłopak zagadnięty odpowiedział:

— „Proch jeść będziesz po wszystkie dni żywota twego", panie radco!

Inspektor co rychlej pożegnał nauczyciela i wyjechał. Jeszcze nigdy tak krótko nie trwała wizytacya.



A na drzewku... figa!...

POCHWAŁA POLEK.

Poco się bracie, wdajesz z cudzą rasą?
Miłe są Szwedki, Francuzki, Angielki,
Ale czyż zdolne są przewyższyć krasą
Nasze Marychny, Zosie i Anielki?...
A już specyalnie, gdy nie chcesz, by wózek
Twym ekwipażem był w późnej starości
Unikaj bracie, jak ognia Francuzek
Nienasycone bowiem są w miłości...
Lecz Polka, Polka, gdy się Bogu uda,
Jest arcydziełem, które zrobił majster
Więc się łapiemy na te wszystkie cuda
Jak biedne muchy na zatruty klajster.
Czyście widzieli niemiecką maszkarę
— To kamienica, co ma dwa balkony —
Polka posiada wszystko w samą miarę
Bez względu, z której patrzysz na nią strony,
Dość w koncertowej rozejrzeć się sali...
Ach co za wdzięki, co za śliczne cacka:
Włosy ze złota i usta z korali,
Co krok, to jakaś rozkoszna zasadzka.
Tu uśmiech słodszy od wschodniej bakalii,
Tam biust zaiste gładszy, niż aksamit,
Gdybym przytulił się do takiej talii
Nie oderwałby mię od niej dynamit.

Polka, gdy wejdzie już miłości na tor
Rozwija wtedy wściekły temperament.
Więc, gdy się trafi prawdziwy amator
Niechaj zawczasu pisze swój testament.
Polka, to pole do studyum obszerne
Znajdziesz w niej wszelkie odmiany i stopnie
Marye i Janki zazwyczaj są wierne
Jadzie i Zosie, zdradzają okropnie.
Polski są wiecznie nowych wrażeń głodne,
A więc się z niemi nie potrafisz nudzić,
Bo posiadają środki niezawodne,
Któremi można umarłego zbudzić.
Czasem są ciche, jak głęboka woda,
To znowu wartkie, jak wiosenny strumień.
Gdy ktoś im serce w ładnej formie poda,
To zawsze skłonne są do porozumień.
A więc nie lecę więcej na Francuzki,
Ani Angielka szykiem mię nie skusi,
Bo mi smakują najbardziej całuski
Białej Janeczki i czarnej Maniusi.
Pierwszą omdlałość zdobi bajadery,
Druga ma we krwi swojej żar kreolki,
Więc kto jest znawca i koneser szczery,
Ten krzyknie ze mną: Niechaj żyją Polki!

Nemo.

Do P. T. Kupców i Przemysłowców!

Młode nasze pismo rozbudziło w szerokich sferach społeczeństwa ogromne zainteresowanie i zyskało sobie wielką poczytność. — **„Życie i Powieść"** w tysiącach egzemplarzy idzie do miast, miasteczek i wsi. To też inserowanie w naszem piśmie przedstawia dla P. T. Kupców i Przemysłowców wielkie i niechybne korzyści. Należy pamiętać, że grosz na reklamę wydany sowicie się procentuje.

Wiersz jednoszpaltowy ogłoszenia w „Życiu i Powieści" kosztuje 2 korony.

Wiersz w tekście redakcyjnym — 5 koron.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Życia i Powieści" Kraków, Karmelicka 16, oraz wszystkie krajowe Biura dzienników i ogłoszeń.

Redaktor odpowiedzialny: M. J. Migo Wydawca: Spółka Wydawnicza „Życie i Powieść".
Drukarnia „Głosu Narodu" w Krakowie, ul. św. Tomasza 35.